



№ 402.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4 kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół

Warszawa, 8 czerwca 1867 r.

Prenumerata na prowincji i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3,
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Filip Padniewski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Przegląd teatralny. — Z życia wirtuoza (4 drzeworyty). — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Zakład wyrobów z lanéj stali w Esen i działo obrzynie p. Alfreda Krupp'a (z drzeworytem). — Przegląd piśmienniczy (dokończenie). — Służący warszawscy (z dwoma drzeworytami). — Szachy. — Relus — Szwagrowa wór niewiasty (poezya). — Listy z wystawy paryskiej. — Gawędy pedagogiczne. — Życie za życie (powieść pani Waleryi M-rzkowskiej), dalszy ciąg. — Korespondencya od redakcyi.

Filip Padniewski.

Biskup ten, opiekun uczonych, ojciec ubogich, mąż światły, mówca niepospolity, świetne w szeregu znakomitości czasów Jagiellońskich zajmuje miejsce. Urodzony we wsi dziedzicznej Skorkach, w dawnéj Wielkopolsce, nauki pobiérał w Ingolstademie, poczem młode lata spędził na dworze cesarza Karola V. Powróciwszy do kraju, najprzód szukał sławy rycerskiej w wyprawach wojennych. Walczył w bitwie pod Poswolem, a przez samego króla odznaczony, stał się jego ulubieńcem. Ale żołnierka niedługo była jego zawodem, bo wnet obrał sobie stan duchowny, w którym przebiegłszy szybko wszystkie hierarchiczne stopnie, od króla urząd podkanclerzego koronnego otrzymał.

Tu dopiero znalazł się w swoim właściwym żywiole. Z polecenia monarchy sprawując pod te czasy poselstwo do Rzymu, nie mniej do cesarzów Karola V i Ferdynanda I, darem pięknego mówienia, czystością i gładkością stylu wzbudził szczególne podziwienie społeczeństwa, którzy mu największych w tym względzie pochwał nie szczędzili.

Wyniesiony na biskupstwo krakowskie 1560 roku, mimo zatrudnień tak wysokiego urzędu, nie przestawał naukami się zajmować, mając w nich osobliwsze upodobanie. Najznakomitsi też światłem i talentami mężowie, jak Jan Kochanowski poeta, Grzegorz z Samborza filozof, Andrzej Nidecki historyk, Jakub Górski filolog, byli jego przyjaciółmi i domownikami.

Wzorem Krzyckiego i Tomickiego, swych na biskupstwie poprzedników, wspomagał sposobną się do nauk ubogą młodzież i nakładem swoim do włoskich ją akademij wysyłał.

Byli wtedy biskupi, zwłaszcza krakowscy, senatorami i pierwszymi w kraju dostojnikami, a wysokie ich znaczenie i hojnie opatrzone posady, nakazywały odpowiednią otaczać się wspaniałością. I Padniewski więc ubiegał się za takim blaskiem, o co pomawia go surowy w swoich zdaniach dziejopis Piasecki., „Jeździło zawsze przed nim (są jego słowa) dwieście konnych strojnych w bławaty, a na każdym był złoty łańcuch na szyi. Taka to była zwykła pompa i pycha świecka. Ale przytém na ludzi ubogie nie okazywał się skąpym i chętnie potrzebnych wspomagał.“

Inni rzucali nań podejrzenia, jakoby sprzyjał nowowiercom, skutkiem czego kapituła go upominała, wzywając do większej dbałości o wiarę. Ztąd też

w owym czasie u ludzi postępowych wyobrażeń miał niemałą powagę.

Największą jednak wziętość jednała mu wymowa, z której chwali go Starowski. „Rada senatorska, powiada, była dla niego szkołą wymowy, a jako w życiu domowém lubił niezwykły blask i polor, tak i mowę rad zdobił najwytworniejszych słów wybo-rem.“ O nim rzekł Karol V cesarz, iż nie słyszał o Polaku lepiej mówiącym po łacinie. Umarł ten



FILIP PADNIEWSKI, BISKUP KRAKOWSKI. (Rysował J. Matejko, podług portretu olejnego, znajdującego się w koryt. ks. ks. franciszkanów w Krakowie).

biskup w Warszawie 1572 roku, pochowany w katedrze krakowskiej, gdzie ma dotąd piękny nagrobek.

Kronika tygodniowa.

Mająca nastąpić we wrześniu b. r. Wystawa płodów gospodarstwa wiejskiego i ogrodnictwa, może

się stać dla kraju bardzo zbawienném urządzeniem. Nie wdając się w dalsze wywody, to z pewnością twierdzić można, że najbaczniejsza uwaga winna być zwróconą na tę część bogactwa kraju, która stanowi główną podstawę jego bytu i zamożności. A my pod tym względem spadamy coraz bardziej i trzeba nam energicznych środków, żeby powstrzymać się w upadku. Program wystawy bardzo starannie jest ułożony i zastosowany do potrzeb miejscowych, a ogrodnictwo zajmuje w nim niepoślednie miejsce.

Premia składają się z medalów złotych, srebrnych, brązowych i nagród pieniężnych; dla mniejszych posiadaczy ziemskich wyznaczają się głównie te ostatnie. Osobny oddział obejmuje maszyny i narzędzia rolnicze, ogrodnicze, leśne, oraz przyrządy pszczolarskie i inne z gospodarstwem wiejskiém bezpośredni związek mające, z tą uwagą, że z nagród w tym oddziale wyznaczonych korzystać mają wyłącznie fabryki rolnicze prowincjonalne i narzędzia lub przyrządy przez posiadaczy małych własności dokonane. W oddzielnéj także rubryce pomieszczono płody przemysłu rolniczego, np. sér, masło, cukier, olej, mąkę, kaszę, krochmal, piwo, wyroby z gliny, jak drewny i cegły, wyroby ze lnu i wełny przez posiadaczy małej własności dostawiane, oraz koszyki, przetaki, sita, nawozy sztuczne i t. p. A przytém płody przemysłu leśnego, jak smoła, terpentyna, dziegieć, gonty, klepki, węgiel drzewny, żywica, potaż, kwas drzewny, sadze i inne. Nie zapomniano również o rybach, jedwabnikach i pszczolach włoskich. Słowem wszystko znajduje się tam w swoim miejscu; radziłyśmy tylko żeby wystawa mogła rzeczywiście odpowiedzieć oczekiwaniom.

Straszna rzecz ta nauka, włosy na głowie powstają, gdy człowiek choć zdaleka o nią zaczepi. Czego bo też nie odkryją uczeni! Dowiadujemy się naprzykład że w około tak gęsto otoczeni jesteśmy różnymi środkami zniszczenia, truciznami i t. d., że doprawdy niewiadomo jak się uchronić od nich i dziwnym się dłaczoego ród ludzki jeszcze nie zaginał. Więc nie wspominały

już o trychinach i tych mikroskopijnych robaczkach gnieżdzących się w sztucznych włosach, które ciągle zagrażają naszemu życiu; przemilczamy o fałszowaniu herbaty, kawy, mleka, masła i mąki, dochodząc, jak nas upewniają, do zastraszających rozmiarów. Ale baczmy na pokoje w których mieszkamy i spimy, żeby nie miały na ścianach zielonéj farby ani obicia, obchodźmy się ostrożnie ze sztucznymi kwiatami, które często bywają zabar-

wiane szkodliwymi metalami i drżymy na samą myśl wypicia kufelka piwa, bo jakiś berliński czy wrocławski chemik znalazł w tym napoju niezliczoną moc zabijających pierwiastków, mogących pozabawić życia tysiące piwoszów. Ale niedość na tym: oglądajmy pilnie mięso które nam z miasta przyniesiono, i tam bowiem śmierć mogła się zagnieżdżyć, skutkiem choroby bydłęcia z którego je wzięto, i o zgrozo! drżymy nawet na myśl spożycia chleba i bułek, jeżeli bowiem wypieczone zostały w piecu wypalonym starą drzewem po rozbiore dawnych budowli pozostałym, to już skończona rzecz z nami, metale bowiem, te wrogi naszego ustroju, w tym drzewie głównie się gnieźdzą. Nie mówimy już o epidemicznych wpływach powietrza, przeciwko którym niema rady, bo żadna tu rewizja nie pomoże. Nam się jednak zdaje, że przy obecnym stanie wypieku chleba i bułek u nas nie potrzeba nawet starożytnych farbami metalowymi zabarwionego drzewa, żeby utworzyć powłokę trującą na tych produktach fachu piekarskiego, glina bowiem którą nam każą pod postacią pieczywa codziennie zjadać, szkodliwsza jest od wszelkich metalów. Chlebem dzisiejszym można by wprawdzie doskonale oblepić okna na zimę, ale jeść go niepodobna. Na to więc trzeba nam koniecznie prędkiego i skutecznego środka, bo wszystkie dotychczasowe wyrzekania żadnego skutku nie odniosły.

Otrzymałmy następującą korespondencją.

„Nieraz podziwiać musimy prawdziwą grzeczność kupców, którzy doskonale rozumiejąc że zaufanie i względność kupujących jest jedyną rękomią powodzenia ich zakładów, uprzejmością obejścia nieraz może nawet przechodzą istotną potrzebę i grzeszą przesadą. Grzech to jednak nie jest śmiertelny i nie sądzą ażeby pociągał za sobą straty materialne lub nawet moralne.

Przy takim pojmowaniu zaufania publicznego, fakt który w tych dniach zdarzył się w pewnym zakładzie, zasługuje na zaznaczenie w kronice tygodniowej.

Do wspomnianego magazynu weszły dwie panie, żony urzędników, z których jedna miała dziecko ze sobą, i prosiły o pokazanie sobie towaru. Lecz kiedy po obejrzeniu i umówieniu się o cenę chciały wychodzić, właścicielka magazynu zatrzymała je temi słowami:

— Panie zechcą pozostać tutaj, brakuje mi bowiem jednego kwiatu.

— Jakiż to ma związek z nami? zapytała zarumieniona jedna z kupujących.

— Związek bardzo prosty, że nie mogę pozwolić złodziejowi wyjść z kradzieżą.

— Co pani mówi! zawołały nawpół z płaczem pomieszane obie kobiety.

— Moja żona ma słuszną, odezwał się w tej chwili właściciel magazynu, przychodząc w pomoc swojej połowicy. Możecie panie sobie oszczędzić mdłości i spazmów, bo znamy się na tych wszystkich scenach i z niejednym już ptaszkiem tego rodzaju mieliśmy do czynienia.

Pomimo zatem wszelkich protestacji, zaprowadzono obie panie do sąsiedniego pokoju i tam, zdjąwszy z nich odzież, dopełniono na ich osobach najściślejszej rewizji. Naturalnie nic nie znaleziono, a po chwili pokazało się, że kwiat zakwestyonowany wzięła do pracowni jedna z robotnic. Nadmienić jeszcze wypada, że wartość tego kwiatu wynosiła najwyżej dwa złote polskie i że opuściliśmy w tej korespondencji różne niewłaściwe wyrażenia przez właściciela magazynu użyte, zanedo bowiem raziłyby one uszy czytelników.

Z powodów które czytelnicy łatwo ocenią, nie wymieniamy adresu tego magazynu, ani nazwiska jego właścicieli; adres ten jednak i nazwisko nadesłane nam zostały.

Pojmujemy że z powodu często powtarzających się w tych czasach złodziejstw, niektórzy właściciele magazynów i sklepów zmuszeni zostali przedsięwziąć różne ostrożności, dla zapobieżenia nadużyciom; ogół jednak publiczności kupującej żadną miarą cierpieć na tym nie powinien. A zresztą wszystko ma swoje granice i niczym nieusprawiedliwione podejrzenie o kradzież dwuzłotowego kwiatka, nie mogło w żadnym razie upoważniać do tego rodzaju postępków. I chociaż, jak to powiadają, nie suknia

zdobi człowieka, zawsze z fizyognomii i zachowania się osoby, można choć przybliżenie sąd o niej wydać, a kupcy powinni mieć pod tym względem więcej doświadczenia od innych. Postępowanie więc opisane w powyższej korespondencji żadnego nie może mieć usprawiedliwienia, i jako niegodne nadużycie na dwóch bezbronnych kobietach popełnione, surowo potępione być winno.

Przy świeżo wydarzonym pożarze mieliśmy znowu sposobność ocenienia gorliwości i poświęcenia warszawskiej straży ogniowej, która należy do najpożyteczniejszych instytucyj miejscowych. Wiadomo że ogień wszczął się w składzie materiałów aptecznych, zagrażał więc wielkiem niebezpieczeństwem i podwójnie trudnym był do ugaszenia. Były tam w części produktu nieziemnie palne, a nawet eksplozujące, imogła się z łatwością powtórzyć klęska, która kilkanaście lat temu nawiedziła ulicę Ogrodową. Ale natychmiastowe przerwanie komunikacji, z narażeniem się na utratę życia przez strażaków dokonane, ochroniło sąsiednie domy. A że to trudny i niebezpieczny obowiązek, najlepszy w tym dowód, iż po każdym prawie większym pożarze, jak to i w ostatnim wypadku nastąpiło, kilku z tych odważnych ludzi trzeba odsyłać do szpitala.

Podobno szafa ogniotrwała, własnością jednego z poszkodowanych będąca, oparła się zwycięsko płomieniom. Niewiele to jednak pomogło, papiery bowiem i asygnaty w tej szafie zachowane, skutkiem rozgrzania się lakieru na ścianach, poprzylegały do tychże i bez zupełnego zniszczenia odjęte być nie mogły. Jest to więc jedno doświadczenie więcej; sądząmy nawet że lakier wewnątrz szafy jest zupełnie niepotrzebny.

W ostatnich czasach zajmowano się trochę temi kasami i odbył ich zwiększył się znacznie. Mają one głównie ubezpieczać od dwóch klęsk grozących kapitalistom: od ognia i kradzieży.

Otóż staraliśmy się zasięgnąć wiadomości od specjalisty, o ile te kasy odpowiadają i mogą odpowiedzieć swojemu założeniu, nie dlatego żebyśmy pragnęli sami nabyć takową, bo dzięki Bogu literaci zabezpieczeni są od smutnych wypadków z pieniędzmi, a to dla ważnego bardzo powodu że ich nie mają; ale kasa taka, to sprzęt stosunkowo drogi, należy więc wiedzieć naprawdę, czy jest zaco tyle płacić.

Otóż kasy niższych i średnich cen, a tych się najwięcej rozsprzedaje, ubezpieczają od ognia tylko do pewnego stopnia. Pieniądze złote i srebrne zachowałyby się w nich bez uszkodzenia, ale papiery nie mogą być na silny i długotrwały pożar bez niebezpieczeństwa wystawiane. Wprawdzie i tu na miejscu można zrobić kasę zupełnie ubezpieczającą od ognia; ale kasa taka jest bardzo drogą, i ci którzy chwalą się iż zwyczajnie ich kasy mogą wytrzymać tę próbę, przesadzają pod tym względem.

Co się tyczy kradzieży, to już inna rzecz znowu. Różne są systematy zamków i ubezpieczeń do kas używanych. Dotychczas zamki angielskie i amerykańskie mają wyższość nad innymi. Szczególniej te ostatnie, wynalazku pana Yale, od którego tajemnicę i przywilej wyrobu odkupił pan Wertheim fabrykant z Wiednia, okazały się najprostszymi w zastosowaniu i najpraktyczniejszymi w użyciu. Na obecnej wystawie paryzkiej zyskują one wielkie pochwały. Szczególna rzecz że te zamki i klucze, ostatnie prawie słowo tegoczesnego mechanizmu ślusarskiego, podobne są do prostych zamków drewnianych, dotychczas jeszcze po wsiach u nas używanych. Tajemnica cała leży tu głównie w różnorodnych nacięciach, wyrobionych w dwóch podłużnych tabliczkach stalowych spojonych z sobą i stanowiących klucz właściwy. Klucz ten wbija się tylko w zamek i kasa już otwarta. Odcisku z zamku wziąć niepodobna, a podwójne nacięcia tabliczek czynią niemożliwem ich podrobienie albo użycie zwykłych witychów, zbyt wiele bowiem trzeba by odgadnąć kombinacji.

Wszystkie inne dodatki: mechaniczne guziki poruszające ukryte sprężyny, podwójne denka zamykające otwór od klucza i utrudniające jego włożenie, a nawet owe sławne kombinacje liter, bez znania których niepodobna klucza użyć, są prostą tylko ozdobą, mającą przynęcić kupujących.

Zdolny mechanik w przeciągu kilkunastu minut

potrafi uprzętać się z temi wszystkimi zawadami, a wiadomo że złodzieje najzdolniejszymi są mechanikami. Jeżeli właściciel zapomni liter na które nastawił, nabawi się tylko próżnego kłopotu; ale złodziej z rzemiosła śmieje się z tych wszystkich przeszkód i prędko się z nimi załatwia. On nie potrzebuje odgadywać liter, bo i bez tego wie jak sobie poradzić.

Główna więc siła leży w zamku i na zamek najwięcej trzeba zwracać uwagę. Powiedzieliśmy że zamki systematu amerykańskiego są bardzo trudne do otworzenia, czy niepodobne, to inna rzecz, ale zdaje nam się że nic niema niepodobnego pod słońcem, przynajmniej w tym co się tyczy użycia mechanicznych środków. Idzie więc tylko o czas jakiego na otwarcie zamku użyć trzeba, a jest już rzeczą wiadomą i różnemi popartą doświadczeniami, że najlepsi mechanicy poświęcali na otworzenie zamku systematu amerykańskiego nietylko kilkanaście godzin, ale nawet kilka dni czasu, i to bez żadnego skutku. U złodzieja zaś czas najdroższym jest towarem. Zdaje nam się więc że kasy temi zamkami opatrzone najlepiej od kradzieży ubezpieczają.

Rzecz jest godną uwagi, że, jak wspomnieliśmy o tym, sprzedaż kas bezpieczeństwa w ostatnich czasach wzrosła się znacznie. To dowodzi że im mniej ludzie mają pieniędzy do chowania, tym bardziej się o nie lękają. Wprawdzie dla wielu kasa taka pożądanym jest sprzętem przez to samo, że okazale bardzo wygląda, trudno odgadnąć co w niej jest, a godzi się przypuszczać że kiedy się wydaje tyle pieniędzy na zachowanie kapitału, to i zasób musi być jakiś. Ale widzieliśmy na własne oczy takie kasy napełnione cygarami i innymi przedmiotami podręcznego użytku, właściciel bowiem ich nie miał nic kosztowniejszego coby w nie mógł włożyć. Ciekawe byłoby studium pod tytułem „Tajemnice kasy,“ gdyby kto chciał je napisać. Ileżby tam się znalazło śmiesznych a czasem bolesnych tajemnic!

Sztuczne wody mineralne uorganizowały się już w całej potędze swojej. Każdorocznie liczba pijących się zwiększa, a w dniu świątecznym, szczególnie gdy pogoda posłuży, o ranniej porze tłum gości napełnia ogrody Saski i Krasińskich. Lato z każdym rokiem coraz bardziej spóźnia się u nas i trwa krótko, więc każdy pragnie z pięknej pogody korzystać, a rzeczywiście przechadzka po ogrodach naszych tylko w ranniej porze jest możliwą. Później istnieje już tam tylko ekshibicya toalety, świeże powietrze znika, kurz zapełnia aleje i trzeba wielkiego złudzenia, żeby uwierzyć naprawdę iż można tam oddychać swobodniejszą pierśią. Warszawianom jednak niewiele potrzeba: każdy kawałek zieloności wabi ich i bawi; byleby mieli przed sobą parę drobnych krzaczków, żywa wyobraźnia gotowa je w ogród przemienić. Największą dotychczas ich uciechą są bzy rozkwitnięte, w rozsądniku na Krakowskiem Przedmieściu; to też od rana do wieczora można tam spotkać lubowników tych kwiatów, rozkoszujących się na ławkach upajającą ich wonią. Nawet o bardzo spóźnionej już porze ławki zapełnione bywają i słychać gwar rozmów przytłumionych. Toż samo na placu Zielonym, chociaż tam mniej ławek, a więc i napływ publiczności mniejszy. I pomyśleć sobie, że ludzie wszelkimi sposobami usiłują zepsuć tę naturę, która nawet w najślabszym odbiciu swoim tyle zapalonych liczy zwolenników. Oto donoszą że Anglik jakiś wynalazł sposób zabarwiania drzew, roślin i kwiatów wszelkich, za pomocą umiejętnie przysposobionego gruntu. Cóż to naprzykład za rozkosz widzieć wyrastający krzak róży z niebieskim kwiatem i złotymi liśćmi. Wzdłuż ulicy można będzie zasadzić rząd fioletowych topoli, a ogrody ubarwią się wszelkimi kolorami tęczy. I niedość na tym: Francuz, pozazdrościwszy sławy Anglikowi, z innym znowu ogłasza się wynalazkiem, twierdząc że potrafi dowolnie zmienić smak owoców, jarzyn i t. p., nadać naprzykład gruszcze przymioty rzodkwi i tak urządzić ananas, żeby smakował zupełnie jak szpinak albo sałata. Ludzie siłą się na poprawianie dzieł Bożych. Nie zadowala ich że truskawka jest truskawką, a malina maliną. Dopieroż to będzie to rozkosz, gdy w podanym koszyku wiśni odszukać będzie można wszelkie przymioty séra limburgskiego! Ale nie na tym koniec; inny jeszcze, arecydowcipny wynalazek zajmuje

wykwintnisiów paryzkich. Pewien przemysłowiec ogłosił iż sprzedaje szpilki do krawatek z muzyką. W każdej takiej szpilce zamknięta jest drobnych rozmiarów harmonijka, która odgrywa wszelkiego rodzaju sztuczki. Każdy kto zechce, może za kilka franków uorganizować sobie koncert pod szyją. A jaka to wygoda dla wydających wieczory tańczące! Trzeba tylko sprosić młodzież, kazać każdemu przyjść w krawacie, nastroić szpilki na jeden ton i obejdzie się już bez muzyki. — I to także coś warte.

Wiadomo że ciało Johna Cocquerill'a pochowane zostało na cmentarzu tutejszym, słynny ten bowiem przemysłowiec, który pierwszy założył fabrykę lokomotyw na stałym lądzie, zmarł przed kilkunastu laty w Warszawie, przyjechawszy do nas, dla urządzenia fabryki machin na Solcu. Obecnie robotnicy którzy pracowali pod jego zwierzchnictwem, oraz wielu innych, którzy dziś korzystają z popędu fabrycznego przez niego nadanego, złożyli się na postawienie mu posągu nagrobkowego w Seraing, skutkiem czego zwłoki Cocquerill'a zabrane zostały w tych dniach z cmentarza i odprawione na kolej żelazną, obecnie zaś zapewne już znajdują się w Belgii. Dziwi nas tylko że tak późno pomyślano o wystawieniu pomnika pogrobowego dla tak zdolnego i zasłużonego człowieka, i że dopiero ze składek robotników trzeba było to uskutecznić. Ale wdowi ten grosz najpiękniejszą może jest ofiarą i największą pamięci zmarłego zaszczyt czyni.

Wspomnieliśmy już o nowo powstać mającym piśmie p. t.: Kronika rodzinna, pod redakcją pani Borkowskiej. Dzisiaj wiadomość ta zyskała już potwierdzenie i wkrótce zapewne wyjdzie prospekt tej publikacji, której głównym celem będzie przysporzenie pożytecznej rozrywki kółkom rodzinnym. Zaletą dla pisma jest imię redaktorki, zasłużonej już na tém polu i występującej tym razem w licznym gronie zdolnych współpracowników. Może przyjdzie nam obszerniej pomówić o tém piśmie, które pod tak dobrą powstaje wróżbą.

Przegląd polityki zagranicznej.

7 czerwca.

Monitor donosi, że w dniu 1 b. m. o godzinie czwartej i pół po południu N. Cesarz Wszech Rosyi, wraz z dostojnymi synami J. C. C. W. Następcą tronu i Włodzimierzem Aleksandrowiczem przybył do Paryża i przyjętym został przez cesarza Francuzów i jego orszak. Obok znajdujących się już w Paryżu króla Belgów z małżonką, księcia Walii następcy tronu angielskiego, księcia następcy tronu pruskiego, spodziewają się jeszcze w Paryżu w tych dniach przyjazdu królowej Wiktoryi, króla szwedzkiego, króla Wilhelma w towarzystwie hr. Bismarck, a w kilkanaście dni później wice-króla Egiptu, sułtana tureckiego i szacha perskiego, a nawet podobno i cesarza chińskiego. Cesarz austriacki, z powodu koronacji, nie będzie mógł, jak się zdaje, wyruszyć teraz w podróż i w lipcu dopiero zjedzie do Paryża. O przybyciu króla włoskiego nic jeszcze nie wiadomo, a królowa hiszpańska wcale nie zwiędzi wystawy. Pobyt tylu dostojnych gości w murach Paryża, wywołuje tysiączne komentarze dziennikarstwa, utrzymującego że cesarz Napoleon skorzysta ze zdarzonej sposobności i wróci do ulubionej swjej myśli — kongresu. Mniej łatwowierni nie wierzą w urzeczywistnienie kongresu, sądzą wszakże iż musi nastąpić porozumienie w kwestyi wschodniej, co doprowadzić może do rozbrojenia powszechnego i ustalenia pokoju. Nie przesądzając tak ważnych kwestyj, zaznaczamy z obowiązku kronikarza, że cesarz Francuzów zaproponował ustanowienie komisji, która udać się ma na wyspę Kandyą i tam rozpoznać rzeczywisty stan rzeczy.

Constitutionel donosi, że w dniu 6 b. m. odbędzie się na cześć dostojnych gości wielki przegląd wojsk francuzkich, które w liczbie 60,000 zbiorą się pod dowództwem marszałków Rognault i Canrobert. Telegram z Wiednia z d. 4 b. m. podaje w stre-

szczeniu mowę p. Beust mianą na posiedzeniu izby niższej. Prezes ministrów austriackich oświadczył, że potęga i kredyt monarchii zależą od zgody z Węgrami i liberalnego zarządu, co się zaś tyczy Słowian, to nadzieje ich mogą być urzeczywistnione przez prawą i otwartą walkę w radzie państwa. W polityce zagranicznej uwaga gabinetu wiedeńskiego skierowaną jest ku Wschodowi, kędy nowe podobno układy Serbii z Portą zapewniają księciu serbskiemu zwierzchnictwo nad Bośnią i Hercegowiną, a to nie pozostanie bez wpływu i na Serbów austriackich. Drugi, również ważny przedmiot czujności stanowi zjazd ministrów Bawaryi, Wirtembergu i Hessyi w Berlinie, celem naradzenia się nad stosunkiem Niemiec południowych do Związku celnego, chociaż dodać należy że urzędowe dzienniki pruskie przeczą, aby rząd pruski myślał o jakichkolwiek układach politycznych z państwami Związku południowego.

W Peszcie zajmują się czynnie przygotowaniem do koronacji cesarza. Sejm ułożył projekt dyplomu inauguracyjnego, w którym zamieszczone są następujące punkta: 1) utrzymanie następstwa tronu według praw z 1723 r., a koronacji według praw z 1790 r.; 2) korona zachowana będzie w kraju; 3) powrót wszystkich krajów do korony węgierskiej; 4) w razie wygaśnięcia domu panującego, wolny wybór króla; 5) zaprzysięganie tych rękami przy każdej koronacji. Arcyksiężniczka Matylda, domniemana naręczona królewicza włoskiego, umarła w dniu 6 b. m., w skutek ran z poparzenia. Układy Serbii z Portą o oddanie Bosnii i Hercegowiny zbliżają się podobno ku końcowi, pozostaje tylko oznaczenie wysokości rocznej daniny.

W Turynie, w dniu 28 maja, odbył się z wielką uroczystością akt zawarcia związków małżeńskich księcia Amadeusza włoskiego z księżniczką Cisterna. Rząd włoski zawarł umowę z domem bankierskim Erlanger, w przedmiocie sprzedaży dóbr kościelnych. Umowa ta w dniu 3 b. m. przedstawioną została parlamentowi włoskiemu.

(W. T. B. Schles. Ztg. France. Ind. Bel. Jour. d. Deb.)

Głowa i ogon.

(Bajka).

Machał gdzieś wół ogonem, to w lewo, to w prawo, To na dół, to do góry, to zwolna, to żwawo; Aż wreszcie w twarz uderzył Jana nieboraka, Za to Jan rozgniewany, dał mu w łeb kułaka. — „A to mi sprawiedliwość, patrzcie no panowie, Ryknij wół. Ogon zgrzeszył, on się mści na głowie. — „Tak jest, rzecze Jan, taka u ludzi zasada Za wybryki ogona, głowa odpowiada.

Przegląd teatralny.

Teatr Rozmaitości. — Klucz Metelli, komedyjka w jednym akcie, z francuzkiego tłumaczona.

Tytuł tej sztuki zakrawa na coś starożytnego. Szukamy we wspomnieniach klasycznych, odżywiamy szkolną erudycją, żeby się dowiedzieć co to była za Metella i jaką rolę klucza jej grał w rzymskich kronikach. Przypomina nam się nagrobek, wiecie, ów nagrobek.... ale nie o nagrobku tu mowa. Owszem, w tej sztuce występują osoby żyjące. I wiercie mi na słowo, że żadnej one wspólności nie mają z Rzymianami, z owemi Lukrecjami, Wirginiami, Klaudyami, których wspomnienia świecą w wypisach moralnych, przeznaczonych dla młodzieży do uczenia się na pamięć.

Metella jest to poprostu jedna z tych pań strojnych, malowanych i zacygarzonych, które w ostatnich czasach przebojem nie tylko do życia, ale i do komedyi się wdarły. Na szczęście tym razem występuje ona na scenę *in effigie* tylko, rolę jej bowiem odgrywa zrecznie subretka, która, jak każda ładna a sprytna Paryżanka naszych czasów, ma jakieś poczucie do odgrywania ról tego rodzaju.

Istnieją w świecie, a szczególnie w tak zwanym

wielkim świecie, małżeństwa, które zdawałoby się pobłogosławione zostały pod krzyżem na rozstajnych drogach. Margrabia idzie swoim, margrabina swoim kierunkiem. On zachował żołnierskie przyzwyczajenia i znajomości, pomiędzy którymi Metella bardzo ważną gra rolę. Ona pociesza się w swoim buduarze platoniczną miłością młodzieńczego Gontrana, który odgrywa rolę florenckiego służebnika miłosnego. Ta młoda margrabina ma różne stare przyzwyczajenia: lubi porządek, systematyczność, ciszę, fotel dla siebie przeznaczony, czytanie mierzoną głosem i stawianie każdego sprzętu na swoim miejscu. Do tego wszystkiego Gontran włożył się powoli i stopniowo, i w tym rajku bez jabłek, jak sam go nazywa, przepędza wszystkie swoje wieczory.

Ale przychodzi chwila, w której tak męza jak Gontran bierze ochotę do zamiany ról: mąż pragnie buduarowego rajku, dufając że już w nim musiała dlań jabłko wyrosnąć; Gontran zaś radby nabrać doświadczenia w Metellowej szkole. Ale tak jednemu jak i drugiemu brak do tego potrzebnej świadomości. Za dobrowolną więc umową udzielają sobie wzajemnie lekcyi, a garderobiana margrabiny, powołana dla poparcia teoryi praktyką do odgrywania podwójnej roli wielkiej damy i Metelli, wywiązuje się jaknajdokładniej z tego trudnego zadania. Po odbytej więc próbie, margrabia, odnalazszy klucz od serca żony, oddaje w zamian Gontranowi klucz od buduaru Metelli i wszyscy są zadowoleni.

Sztuka cała naciągnięta jest do jednej wyłącznie sytuacji, do sceny studyów czynionych nad zdolnością subretki przeistaczania się w podwójny kobiecej charakter. Zresztą brak tam naturalności, a nawet prawdopodobieństwa, bo stosunek margrabiny z Gontranem, jakkolwiek bardzo niewinny w gruncie, powinienby oddawna już razić przekonania męża. Obrobione to jednak zrecznie i scenicznie; szkoda tylko że główna scena zbyt wydatnie przedstawia nam zachowanie się pani Metelli i stosunek w jakim się do niej znajomości jej znajdują. Optymiści powiedzieliby może, że to dla nauki, że należy takim doświadczeniem odstraszać synów marnotrawnych od niebezpiecznych znajomości; wątpimy jednak ażeby mąż lub kochanek mogli wyciągnąć jaką naukę z takiego przedstawienia. Owszem, służba tego rodzaju jak ta którą margrabina Gontranowi nakazuje, wydałaby się nieznośną dla niejednego męża, a młodych Gontranów, po zobaczeniu tej komedyi, może wziąć ochotę przekonania się, czy rzeczywiście klucz udzielony przez margrabiego przydaje się do drzwi wskazanych.

Komedya odegrano wybornie i należy oddać sprawiedliwość naszym artystom teatru Rozmaitości, że rzadko która scena poszczycić się może takim doborem.

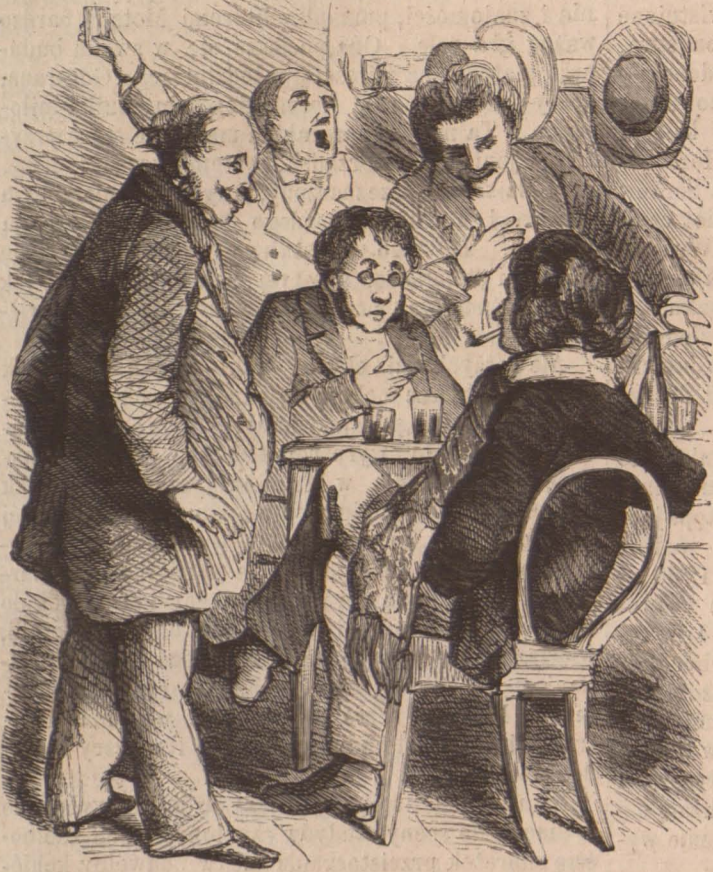
Pani Bakałowiczowa rolę garderobiany oddała z naiwną zalotnością, która stanowi jeden z głównych przymiotów tej utalentowanej artystki. Drobnostka to na pozór, jedna scena i nic więcej, ale trzeba gry w tej drobnostce, a scena starczy czasem za sztukę całą. Przejście do charakteru Metelli może zbyt silnie uwydatnione, ale kiedy już szło o realizm, artystka musiała się zastosować do kierunku jaki autor tej roli nadał, głównie tu bowiem efekt sceniczny miano na celu. Przyzwyczailiśmy się już do tego, że każda rola oddana pani Bakałowiczowej, choćby podrzędna nawet, wychodzi przebojem na światło i w tém o niej przekonaniu nie doznajemy nigdy zawodu.

Rola margrabiny, wymagająca wielkiej godności i szlachetności, zyskała w pani Rakiwiczowej wyborną przedstawicielkę. Dykcya poprawna, ruchy poważne i wdzięczne, organ mowy nader sympatyczny, odznaczają tę artystkę, której nazwisko publiczność zawsze z upodobaniem widzi na afiszu.

Lekka doza rubasznym komiczności, rozlana w roli margrabiego, uwydatniła się w grze pana Stolpego, który tego rodzaju charakter ex-wojskowych z wielką prawdą oddaje. Grał z życiem i wesołością, a pod powłoką żołnierską znać jednakże było margrabiego.

Najmniej wydatna rola Gontrana, (pan Tatariewicz) dobrze jednak zléwała się z ogółem i posłużyła do dopełnienia nader ożywionej całości.

Z ŻYCIA WIRTUOZA.



Protektorowie.

Protektor 1. Potrzebujesz pieniędzy?... daj koncert.
 Protektor 2. Niema co... wal koncert.
 Protektor 3. Ani pytaj... rznij koncert.
 Protektor 4. Panowie! za pomyślność koncertanta i przyszłego koncertu!



W hotelu.

Krawiec. Oto, panie dobrodzieju, kompletny garnitur... Prosiłbym tylko....
 Wirtuoz. Posłuchaj, panie, tymczasem tego fadzeoletu... A co do tego... przyjdź po koncercie.

KORESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Wrocław, w maju.

Jak w innych latach, tak i w bieżącym roku święta wielkanocne i poprzedzający je post zwyczajnym przeszły tu trybem. W czwartą niedzielę postną, Laetare zwaną, młodzież uliczna, zaopatrzona w choineczki pstrokatemi strzępami poubierane, chodziła od kamienicy do kamienicy, a wśród gestu śpiącego się śniegu, uwielbiała, drząc od zimna,

Jak w każdym wielkim mieście, tak i w Wrocławiu w żadnej porze nie brakuje różności. Sezon muzyczny zakończyły koncerty Bilsego, który przed wyjazdem do Paryża kilka razy tu wystąpił i piękny na drogę grosz zebrał, tudzież smyczkowe kwartety, wykonane przez dwóch Włochów i tyłu Niemców prawdziwie po mistrzowsku i przy wielkim zawsze napływie słuchaczy. Wystawą inwentarza i sprzętów rolniczych nie tylko przywabiła znaczną liczbę ziemian, ale i miejscowych zajęła. Tego samego spodziewać się należy i po wystawie obrazów, rozpoczynającej się z końcem maja, o której w następnej korespondencji uczynię wzmiankę.

Zdrojowiska szląskie po dziennikach coraz bardziej przypominają się ludziom już to prawdziwie cierpiącym, już też zabawy i zmiany miejsca szukającym. Na wyścigi wychwalają one zbawienną skuteczność swych źródeł, a niema wątpliwości, że nigdzie zbywać nie będzie na gościach, skoro pogodne zjawią się dnie. Zdaje się że tak Jastrzab, jakotóż i Goczałkowice, oba w górnym Szląsku położone, liczniej jak przedtem będą odwiedzane, gdyż wody tamiczne, z przyczyny swych części składowych, (pomiędzy którymi znajdują się jod i brom w znacznej ilości) coraz więcej zyskują wzięcia. O Jastrzębiu, majątności hrabi Königsdorfa, była już mowa w jednym z poprzednich roczników Tygodnika; Goczałkowice leżą w bliskości miasta Pszczyn słynnego z zamku Piastowskiego i wspaniałego ogrodu książęcego (w którym między innymi są drzewa figowe 300 lat przeszło mające i ananasarnia) oraz z piękności okolic, z czaruującym widokiem na pasmo gór austriacko - szląskich,

wznoszące się na południowo-wschodnim horyzoncie.

Wrocław coraz więcej traci cechę odznaczającą go jako miasto z okresu Piastowskiego; dawne szczyty domów, dziwaczne nieraz kształtu, ustępują wspaniałym fasadom, a razem z niemi znikają i budy około ratusza popostawiane, szpecące ten pyszny pomnik architektury średniowiecznej. Magistrat zakupuje je powoli, czém miastu prawdziwą robi przysługę.

Koło odbudowania teatru zgorzałego, robotnicy teraz nie żartem się krzątają, a jest nadzieja, że



Skutek.

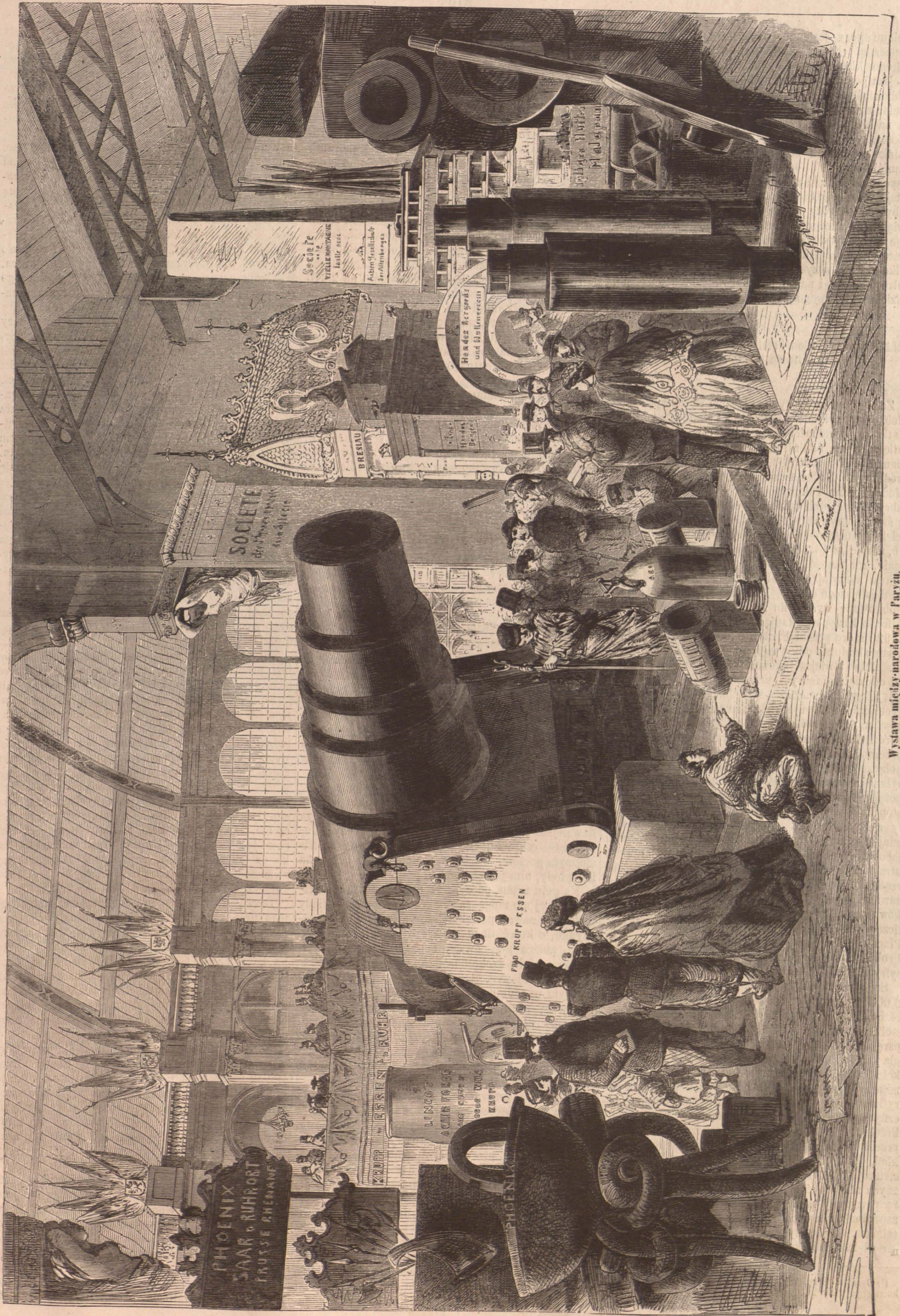
Patrzaj-że, mój drogi... rezultat, uważasz, taki: po potrąceniu wszystkich kosztów... pozostaje ci jeszcze... dopłacić rs. 7 k. 18. To nawet bardzo mało, jak cię kocham.



Pożegnanie.

(Monolog).

— Nie zobaczycie mnie tu prętko... Wolę Sochaczew. Odrzywól, nawet Kiernozie. — O wy mecenasi sztuki! nacóżem was usłuchał!...



Wystawa mięczy-narodowa w Paryżu.
Olbrzymie działo z lamęj stali, z zakładów A. Kruppa w Essen

w ciągu pory jesienną przedstawienia w nim się rozpoczną. Na dyrektora wybrano p. Lobego, pod którego kierownictwem spodziewają się, że scena tutejsza godniej jak dotąd odpowie oczekiwaniom publiczności. Czy prawda że nowy dyrektor ma zamiar zawezwać słynny i zagranicą balet warszawski na kilka przedstawień gościnnych, z czasem się pokaże.

Jak ze wszech stron świata, tak i ztąd coraz liczniej gotują się odwiedzić wystawy paryskiej, a spekulacya umie z tego korzystać. Przedsiębiorca tutejszy Ludwik Stangen, znany z kilku szczęśliwie odbytych podróży wspólnych do Egiptu i do Ziemi świętej, za mierne stosunkowo wynagrodzenie, gotuje wyprawę do Paryża. Będzie on zarazem sługą i ciceronem zapisujących się uczestników, bo nie tylko załatwi wszystko co w drodze dla podróżnych potrzebne, ale i na miejscu oprowadzi ich wszędzie, gdzie coś ciekawego jest do widzenia.

J. M. Fritz.

Zakład wyrobów zlanęj stali w Essen i działo olbrzymie p. Alfreda Krupp'a. (*)

Zakład ten, w którym wyłącznie wyrabiają działa żłobkowane, słynne z szybkiego i skutecznego działankowania ludności naszej planety, leży o cztery mile od Renu, na linii główniejszych kolei żelaznych niemieckich i stanowi, że tak powiemy, ich punkt środkowy. Nader szczęśliwe położenie, od razu zakładowi temu rokowało przyszłość; i rzeczywiście fabryka lanęj stali w Essen, jest obecnie największym w świecie prywatnym zakładem. Teraźniejszy właściciel, pan Alfred Krupp, objął posiadłość tę w spadku, mając lat 14, i pomalutką przez specjalne wykształcenie, znajomość przedmiotu, pracę i pilność, przy zbiegu sprzyjających okoliczności, doprowadził ją do dzisiejszego stanu. Pierwsze trzyfuntowe działa żłobkowane wysłał do Berlina 1849 r. Zakłady Alfreda Krupp'a zajmują w obecnej chwili przestrzeń 920 mórg pruskich, czyli około 15 naszych włók, a same budowle pokrywają przeszło 240 mórg gruntu. Dla łatwiejszej komunikacji pomiędzy różnymi oddziałami fabryki, urządzono kolej żelazną, której długość wynosi 2 $\frac{3}{4}$ mil niemieckich, licząc jej promienie we wszystkich kierunkach. 150 wagonów z 6 lokomotywami, odrabia ciągłą służbę, oprócz 60 koni, używanych do transportu mniejszych przedmiotów. Wszystkie warsztaty i inne budowle połączone są telegrafem, a rozporządzenia nim przesyłane skuteczniają się za pomocą 15 biur. Dwa potężne gazometry dostarczają dziennie 200,000 stóp kubicznych gazu, który 9,000 płomieniami całej zakładu oświeca. Oprócz znakomitych giserni, znajdują się jeszcze przy fabryce między innymi: laboratorium chemiczne i zakład fotograficzny, dla utrzymania zaś porządku w obrębie fabrycznym, urządzono biuro policyjne. Nadto jeden z gmachów zawiera oddział straży ogniowej. Liczba robotników wszelkiego rodzaju wynosi 10,000 ludzi, nie licząc w to 1,200 użytych li tylko w kopalniach. Płaca roczna wszystkich oficjalistów, rzemieślników i robotników, doszła w przeszłym roku do ogromnej cyfry 3,100,000 talarów.

Sto sześćdziesiąt maszyn parowych, razem o sile 6,000 koni, wprowadza w ruch tysiące kół i narzędzi różnolitych i różnej wielkości. W głównym gmachu stoi maszyna parowa siły 1,000 koni. Potrzebną parę daje 130 kotłów znacznych rozmiarów. Węgla kamiennego i koks fabryka zużywa dziennie około 9,600 korcy, z których na same węgle kamienne przypada korcy 5,700. Do wyprodukowania pary konsumuje się na 24 godzin 200,000 stóp kubicznych wody. Kilkadziesiąt kominów różnej wielkości sterczy ponad dachami; pierwszym wszakże przedmiotem, jaki wpada w oczy zwiedzających zakład, jest olbrzymi komin pięknej i ozdoby konstrukcji, 240 stóp wysoki. W hamerni 35 potężnych młotów ciągle kuje żelazo; główny z nich, parą poruszany, waży 1,000 centnarów, a koszt jego zaprowadzenia wraz z przyrządem wynosi 600,000 talarów. W zeszłym roku zaprojektowano urządzenie większego jeszcze młota, wagi 2,500 centnarów,

za bajeczną sumę anszlagową 1,200,000 talarów; kowadła waży razem około 30,000 centnarów. Wszystkie narzędzia używane w zakładzie, wyrabiają się w samej fabryce, do czego służy około 600 różnych maszyn. Do wytapiania i lania metalu znajduje się w Essen 400 pieców różnego gatunku; samych kuźni jest 110. Dla ulania bloka stali wagi około 1,000 centnarów, potrzeba 1,200 najsilniejszych robotników, którzy jednocześnie w ciągu kwadransa topią metal w 1,400 tyglach, poczem przez dwie godziny odpoczywają. W roku 1863 fabryka Krupp'a wyrobiła 250,000 centnarów lanęj stali, w roku 1864 podniosła się produkcja do 500,000 centnarów, a w roku zeszłym doszła do wysokości jednego miliona centnarów! Jakiś wyżej wspomnieli, fabryka w Essen wyrabia wyłącznie tylko działa żłobkowane. Do 1go stycznia 1867 roku dostarczyła ich za 7,000,000 talarów; dziś ma obstalunki na 2,370 dział żłobkowanych, prawie dla wszystkich mocarstw europejskich. Zakład ten wyrabia działa różnego kalibru: 11to calowe, ważące 540 centnarów, wyrzucają pocisk wagi 600 funtów. Do transportowania ciężkich mas ustawiono kran, który przenosi przedmioty wagi 1,500 centnarów, na przestrzeń 70 stóp długości.

W końcu nadmieniamy tu jeszcze, że działa żłobkowane olbrzymie, wysłane przez pana Krupp'a na teraźniejszą wystawę paryską, którego rysunek dołączamy tu w drzeworycie, waży bez lawety 400 centnarów, cztery zaś otaczające je pierścienie stalowe 600 centnarów. Pracowano nad tą sztuką od listopada 1865 roku bez przerwy, a koszt ulania tego działa wynosi 130,000 talarów.

Przegląd piśmienniczy.

Kilka słów o poezji w ogóle, a o Pieśniach Mirona w szczególności.

Pojawienie się książki zapełnionej wierszami, w dzisiejszych czasach nie jest rzeczą zwracającą uwagę publiczności, ale zadziwiająca bibliografów i krytyków.

Tak jest, odwykliśmy dzisiaj od poezji, a jeśli utwór tego rodzaju na świat się pokaże, witamy go jakby wędrownego ptaka, który spóźniwszy się w odlocie za innymi, w niezwykłej porze pomiędzy nami się błąka. Świat dziś zapoważny, aby się miał rozkoszować dźwiękami lutni, zaciężki aby się podnieść w wyższe sfery ideału.

Ale bądźmy bezstronni. Część winy spada także na samych poetów. Obecne pokolenie nie udowodniło jeszcze tego natchnienia, przez które generacya dawniejsza podniosła i uswietniła naszą poezję. Publiczność czuje to, wie o tem i nie dowierza dzisiejszym poetom, z lekceważeniem spoglądając na ich płody, nim jeszcze wzięła je do ręki.

Na polu zatem poezji jest dziś zastanie się i cisza, której nie mogą rozerwać odzywające się kiedy niekiedy nawet powabniejsze głosy, chwila spoczynku, w której duch poetyczny, zanim dalej postąpi, zbiera swą uwagę i oczy naprzód posyła, upatrując jaką drogę obrać mu wypadnie.

Podobne zjawisko leży w naturze rzeczy i jest logicznym wypadkiem w pochodzie naszej poezji. Starajmy się pochwycić nie dziejową jej rozwoju, a będzie ono dla nas zupełnie jasnym i wytłumaczonym; poznamy wtenczas, dlaczego dzisiaj publiczności i poetów nie wiąże wzajemna sympatya, dlaczego widoczne nawet talenta w bezowocnej walce swoje siły marnują.

Najnowsza generacya poetów zastała poezję na drodze do ostatecznego celu i z przyjętych przez siebie przekonań ostatecznie wypowiedziała słowo. Jakkolwiek będziemy się zapatrywać na poezję zrodzoną u nas przez wpływ romantyczności i cokolwiek bądź powiemy o niej, a mówić można bardzo wiele i z najrozmaitszych względów, dążność jej i charakter dadzą się ostatecznie streścić w słowach poety, wyrzeczonych w najpiękniejszych chwilach jej powstania:

Miej serce i patrzaj w serce!

To jest istotna i główna zasada tej poezji, najogólniejsze określenie ożywiającego ją ducha. W tym wyłącznie kierunku postępowała ona przez parę lat dziesiątek. Kierunku tego nie można nazwać je-

dnostronnym, albowiem nie przypuszczamy aby droga poezji naszej zupełnie już była ukończoną; nie chcielibyśmy nadto nadawać jej epitetu, do którego bywa zwykle przywiązywane pewne ubliżające wyobrażenie. Ale tego również nie można zaprzeczyć, że był on jedynym i wyłącznym, że poezya miała tylko na oku uczucie i spowinowaczone z niem objawy ducha, pomijając zupełnie inne przymioty i prawa natury ludzkiej, zasługujące niemniej na uznanie. Świat i jego stosunki oddane zostały li tylko pod kryterium serca i uczucia, a pogląd na nie kierowany był nie doświadczeniem i przykrą nieraz nauką wypadków dziejowych, ale raczej szlachetnym pragnieniem ducha i bezwzględną wiarą w Opatrzność. Natchnienie to, żyjące tylko idealnym oderwaniem się od ziemi, utonęło wreszcie i znalazło swój grób w mistycyzmie. Tu kończy się już poezya. Wezbrane uczucie rozsadziło swoje naczynie, a jego rozprężenie przeszło w mgliste, apokaliptyczne marzenia.

Tak jednakże być musiało. Mówiąc to, dalecy jesteśmy od świętokradzkiej myśli obwiniania twórców i geniuszów naszej poezji. Mówimy tu więcej o jej duchu, niżeli o nich samych, więcej o tej treści wewnętrznej, którą wyrabiają czas i okoliczności, niżeli o sposobie i jakości jej oddania. W warunkach pod jakimi wzrosła, poezya ich nie mogła być inną. Z drugiej przeciw strony nie chcielibyśmy także aby nas posądzono o fałszywe pojęcie ducha poetycznego i jego stanowiska w obec świata. Już to dawno powiedziano, że poeci nie rządzą się powszednim praktycznym rozumem, ale mądrością wypływającą wprost z ducha ludzkiego, a będącą odbiciem mądrości Bożej, jakiej cząstkę tchnął Stwórca w człowieka, stwarzając go na swoje podobieństwo. W obec tego zdania, które bez wahania przyjmujemy za prawdę, upada całe powyższe wyrażone twierdzenie, a mianowicie ten zarzut, jakiby można ze słów naszych wyciągnąć, że poezya nadała zbytnią przewagę uczuciu, będącemu, bądź co bądź, w takim pojęciu, w jakim go używali nasi poeci, wyrazem właśnie tej prawdziwej mądrości.

Tak jest w rzeczy samej — natchnienie tych poetów jest prawdą wiekiustą, wydobytą z zasadniczych praw, na jakich porządek świata spoczywa. Ale jestto prawda bezwzględna i dlatego niezawsze dająca się do pewnych czasów zastosować. Musiemy bowiem brać rzeczy także i ze stanowiską czysto ludzkiego, w jakim je widzimy w rozwoju dziejowym. Niedarmo nazwano historią nauczycielką życia, ma ona także swoje prawa, których nie można lekceważyć. To co ze stanowiska filozoficznego powinno być prawdą, pokazuje się nieraz w historii fałszem, czyli raczej znajduje w niej zaprzeczenie. Czyż wolno nam jednak, kiedy przeznaczeni jesteśmy żyć na świecie i pod warunkami jakie on na nas wkłada, zapoznawać zupełnie jego wymagania i koleje, odrzucać naukę historii i doświadczenia?...

Bezwątpienia na to są dane duchowi ludzkiemu jego przedwieczne prawa, aby podług nich świat przetwarzał i kształtował; ale czyż nie jest zarówno jego obowiązkiem zwracać uwagę na każdy okres, na każdą chwilę tego ciągle odbywającego się przekształcenia, aby umiał do nich się zastosować i nie czynił gwałtownych przeskoków w postępie, za każdym razem baczenie przyglądając się temu miejscu na którym stanął, na którym ma postawić nogę, dając do coraz wyższych szczebli?

Każda prawda postanowiona jest dla wszystkich wieków i obowiązująca po wszystkie czasy. Życie jednak nasze, wiek w którym żyjemy jest tylko jedną cząstką życia ludzkości, jedną chwilą wieczności. Cóż z tego wynika? Oto że całej prawdy nie posiadziemy nigdy, że przestać musimy na tej jej części, która nam się w udziale dostanie i tę czynić swego życia prawidłem, które później rozszerzą i wydoskonają następne pokolenia.

Nie tak postępowała nasza poezya, albo raczej umysły czytających nie umiały jej w należyty sposób spożytkować; wzięły one zbyt dosłownie wszystko co poeci pod postacią wypowiedzieli, odniosły do swoich czasów wszystko, co oni w proroczym widzeniu kilka może wieków naprzód oglądali. W skutek tego dobrowolnego zawodu powstało w ludziach pewnego rodzaju rozczarowanie i nieufność do poezji; zżalem zadawali sobie pytanie: i gdzie te światy,

(*) Opis ten czerpiemy z artykułu p. Matiasa Bersohn'a, drukowanego w Nr. 21 Przeglądu tygodniowego.

(Przyp. redak.)

które nam przedstawiali?... Rzeczywistość zbyt się różniła od marzenia; poezya musiała złamać swoje czarodziejską laskę i zamilknąć, albo raczej odpozcąć.

To jest, że tak powiem, wyrozumowany dowód, że poezya, rozpoczynając swą drogę w jednym wyłącznie kierunku, musiała ją przerwać, bo dalej postępować było niepodobnięstwem. Ale dzieje jej samej dostarczają nam jeszcze innego faktu historycznego, który ma za sobą nieprzepartą powagę.

Przez tę poezję o której mówimy, rozumiemy się zwykle trójcę naszych wielkich poetów. Oni ją wypielegnowali i wykształcili; ale nie wszyscy pozostali wiernymi jej zasadom. Jeden z nich, Słowacki, domieszał do poezyi żywioł nieznanym swym współtowarzyszom, a mianowicie ironią. Obdarzony najbujniejszą, kapryśną nieraz fantazją w artystycznym tworzeniu i wykonywaniu dzieł swoich, posiadał jednak w poglądzie na świat i historią najbystrzejsze i najchłodniejsze oko. Jego to najwięcej uderzyła różnica między prawdą życia a ideałem marzeń, i dostrzegając ułomności i wady świata, zerwał tym sposobem z bezwzględny optymizmem i uczuciowem pojmowaniem rzeczy, a natomiast pozwolił się głośniejszemu zimnemu rozsądkowi. Niech nas nie ludzi zewnętrzna postać jego utworów, pełna zapału i tryskająca ogniem; pod tą wrzącą lawą ukrywa się ważący ściśle rozum i cierpkie doświadczenie wieków. Wprawdzie i on powiedział, że „sercem gryzie,“ ale chcąc gryźć, nietyle trzeba słuchać serca, ile głosu przekonania, będącego wypływem rozważliwej i obejrzenia się w około siebie. Przeciwnie zaś poezya dwóch innych poetów trzymała się pod tym względem tradycyi swego pochodzenia, według której, podobnie jak w idealnej filozofii niemieckiej, nie mały wpływ na rozwój nowszej poezyi wszędzie wywierającej, z własnego wnętrza tworzyła światy na podobieństwo swego ducha. Czyli mówiąc przyjętemi w filozofii wyrażeniami: Słowacki poddał podmiotową prawdę poezyi pod sąd przedmiotowej rzeczywistości. Takie podobno a nie inne ma znaczenie ironia jego i takim sposobem odstąpił Słowacki z pod sztandaru, na którym napisane było wspomniane wyżej romantyczne godło. O ile zaś był w tém oryginalnym, albo o ile wstępował w ślady Byrona, to nie należy tutaj do rzeczy, bo nam nie chodzi o ocenienie poetów, lecz o wskazanie kolei jakie poezya przebywała.

Takie było ostatnie słowo tego okresu poezyi, który do pewnego stopnia stoi dziś przed nami jako skończona całość. Właściwem jego zakończeniem, jego finałem, był, jak wspomnieliśmy, mistycyzm; ale ironia była ostatecznym słowem zwróconem ku przyszłości, rzuconem jakby ziarno późniejszej nastąpić mającego plonu.

Najnowsza generacja poetów, lub mających chęć być poetami, na takim stanowisku znalazła poezję. Stanowisko to nie daje im jednak żadnej trwałej podstawy do dalszej działalności. W duchu poezyi Mickiewicza i Krasińskiego nie można dalej tworzyć, bo duch ten strawił się sam w sobie, zgorzał jak Herkules samowolną śmiercią na stosie. Rola jego się ukończyła i ustąpił wśród grzoty oklasków ze sceny. Również ironia Słowackiego nie może być zapładniającym pierwiastkiem przyszłej poezyi w takim stopniu, jak uczucie romantyczne było dla przebrzmiałej przed niedawnymi laty. Poezja bowiem jest radykalną, potrzeba jej oznaczonych i wyłącznych żywiołów, na którychby mogła się rozwinać i zakwitnąć, a zwykle w silnym rozwoju swego życia rzuca się w ostateczności. Ironia zaś jest tylko czémś pośredniem, jest przeciwieństwem wywołanem przez zbyt uczucia, ale istniejącem obok niego. Może zatem tworzyć punkt zaczepienia między dwoma okresami, dwoma światami, ale samodzielnie żadnego nie zbuduje.

Jakiż więc charakter ma przybrać poezya w obecnej chwili, albo na przyszłość, jeżeli pragnie wypełnić swe zadanie, t. j. być wyrazem swego czasu? Musi się ona zmienić koniecznie, bo świat tego wymaga, bo zmieniły się okoliczności pod których wpływem pozostaje. To jest pewne; ale oznaczyć dzisiaj jej kierunek i wskazać drogę, przechodzi podobno możność i poetów i otaczającego ich społeczeństwa. Spiritus flat ubi vult, a któż może powiedzieć z kąd i jak przyjdzie natchnienie? Wolno nam jednak wyciągać wnioski z przeszłości i two-

żyć przypuszczenia, które, jeżeli nie zostaną poparte przez prawdę historyczną, są jednak w każdym razie prawdopodobieństwem logicznem.

Mniemamy że nikt nie weźmie tego za zuchwałstwo, jeśli ośmielimy się zrobić podobne przypuszczenie; nie jest ono ani osobistém, ani tak dowolnym, jak się może wydaje, owszem, wypłynęło z zastanowienia się nad rzeczą samą i z tego ogólnego poczucia, jakie obejrzawszy się około siebie, tu i owdzie spostrzedz się daje.

Poezja skończona dotychczas, pomimo ogromnych swoich zalet i wiekami niestrawionęj sławy, ma jednak pewne grzechy swego żywota, świat może jej niejedyn błąd zarzucić. Jeśli zatem mamy posiadać poetów i poezję, jeśli to co za nią uchodzi nie ma pędzić skarłowaciałego i bezsilnego życia, ale wystąpić przed ludźmi w całej mocy i świetności zniewalającej umysły, winna poezja uzupełnić swoje jednostronnie dokonane dzieło i tym sposobem wynagrodzić swoje niedostatki. Jej źródłem w latach minionych było serce, jej polem świat nadziemski; może niezadługo usłyszymy przez jej usta głos rozumu, może z swych sfer fantazyjnych przejdzie na nasz ziemski padół.

(Dokończenie nastąpi).

SŁUŻĄCY WARSZAWSKY.

Przysłowie włoskie mówi:

„Od przyjaciół moich strzeż mnie, Panie Boże, bo od nieprzyjaciół sam się ustrzedz potrafię.“

Rzeczywiście, plagą nieraz dla człowieka są przyjaciele, ale gorszą jeszcze plagą domownicy.

To kontrola rozciągnięta nad nami, kontrola każdego dnia, każdej chwili, każdej godziny.

Wysokie jest znaczenie wyrazu: dom. Starożytni stawiali ołtarze bóstwom domowym, już przez to samo pokazując jak wielką przywiązywali wagę do świętości najbliższego schronienia, jakie każdy sobie tworzy w tym doczesnym bycie. Ludzie znudzeni światem, znękanii walką życia, pragnący spokoju, zamykają się w domu. Tam szukają oni wypoczynku i odświeżenia sił do dalszej uciążliwej wędrówki żywota. Tam wolno im odetchnąć, jak aktorom za sceną po zdjęciu sztucznych przyborów, co pozbyli się różu i blanszu, jaskrawych gałganek i szychowych dodatków, a co ważniejsza, pozbyli się przymusu jaki im narzuca odegranie roli uroczystej lub wesołej, pozbyli konwencyonalności scenicznej, jakiej pilnować się musi każdy czujący się na widowni. Zdjęli kostium z pleców i mózgu, maskę z twarzy i duszy, wdzieli domową szatę; wolno im milczeć lub mówić, wolno im nie uśmiechać się fałszem i unikać faryzeuszowskich uściśnień ręki.

A jednak do tego domu, do tego najświętszego przybytku i schronienia naszego, wpuszczamy obcych płatnych przybyszów i co gorsza, obejść się bez nich nie możemy. Nie znamy ich, nigdy ich nie widzieliśmy, a robimy z nimi ugodę na kilka miesięcy, za poręczeniem świadectwa często żadnego rzeczywistego znaczenia nie mającego i przez te kilka miesięcy czynimy ich uczestnikami najskrytszych tajemnic naszego życia, pomimowolnie odkrywając nieraz to nawet, czego byśmy i zaufanemu przyjacielowi zwierzyć nie śmieli. Wraz z nimi dobro lub zło wchodzi do naszego domu; bo ludzie ci pozornie tylko zależni są od nas, a rzeczywiście my jesteśmy na ich łasce.

Jakże wiele zależałoby na umoralnieniu tej tak licznej klasy, która w podrzędny swoim stanowisku, jest jednak ważnym bardzo żywiołem społecznym!

Owóż moralność domowników i przywiązanie ich do panów, były dawniej w wielkim poszanowaniu u nas.

Pamiętamy że pewnego razu Francuz umiejętnie językiem polskim władający, chciał wziąć się do tłumaczenia Listopada, znanęj powieści Henryka hr. Rzewuskiego. Ale uderzyły go zaraz pierwsze wyrazy, których prawdziwego znaczenia żadną miarą zrozumieć nie mógł, a tém bardziej przełożyć ich na język rodzinny. Te pierwsze wyrazy były: „sługa i przyjaciel domu Radziwiłłowskiego...“ Otóż pomimo wszelkich wysiłków nie umiał on sobie wytłumaczyć połączenia tych dwóch pojęć „sługa i przyjaciel“ i rzeczywistę ich doniosłość.

A jednak w tych wyrazach leżała prawda. Od sługi do przyjaciela niedaleko u nas było, i nawzajem, a szlachcic szukający karyery na dworze pańskim, nie wstydział się mianować sługą, nie znajdując w tej nazwie nic upokarzającego. Lata uświęcały ten związek domowy, rodzinny prawie, bo stary sługa wdzięcznością, poświęceniem, przywiązaniem do rodziny pańskiej należał. I nietylko na magnackich dworach tak się działo, ale stosunkowo wszędzie.

Dzisiaj postać rzeczy zmieniła się do niepoznania prawie. Upadła tradycja nawet patryarchalnego stosunku pomiędzy panem a sługą; służący z przyjaciół, z domowników, stali się najemnikami tylko; żywe poczucie obowiązku znikło w nich, a zostały chwilowo zawarte ugody, w których o sumiennem dopełnieniu warunków mowy nawet być nie może.

Stało się to po części skutkiem instynktowego dążenia do samodzielności społecznej, która pomimo przymusowego służebnictwa jakie kapitał narzuca pracy, jest jedną z cech naszego wieku. Służący czują swoje podrzędne stanowisko i chcieliby się z niego wyswobodzić, a przynajmniej zmniejszyć jego ciężar.

Dodać do tego należy osłabione i zatarte poniekąd poczucie obowiązku we wszystkich niemal klasach naszego społeczeństwa. Nie jest to wcale czczem słowem, owszem, śmiało i otwarcie twierdzimy, że mało kto z nas posiada prawdziwe i jasne wyobrażenie o obowiązkach jakie życie na niego wkłada. Kiedy wrodzone uczucie zacięra się powoli, oświata zastąpić je jeszcze może do pewnego stopnia. Ale my niestety nie stoimy dotąd na takim stopniu oświaty, więc tém bardziej nie możemy jej wymagać od służących, którzy, z naszej może trochę winy, stanowią jedną z najbardziej nieokrzesanych warstw społeczności.

Piszac o służących warszawskich, moglibyśmy puścić swobodnie wodze humorystyce, sama rzecz bowiem nagina się ku temu; wolimy jednak ten przedmiot, jako następczący pole do sumiennych badań, traktować z bardziej poważnej strony.

Służący dzielą się na dwie osobne kategorie, samą już różnicą płci odgraniczone, na służących męzkich i żeńskich.

Ulegając zwykłym wymaganiom społecznej hierarchii, pomówimy najprzód o pierwszych.

Służący mężczy dzielą się na kamerdynerów i lokajów, ze wszystkimi odmianami do tych zawodów przywiązaniem, na stangretów i stróżów.

Lokajstwo szeroką bardzo obejmuje kategorię.

Z imienia obejmuje ono służących trudniących się usługą pokojową, z rzeczy i wielu panów także.

Ale nie o panach nam dziś mówić, zostawmy ich tymczasem na boku.

Począwszy od ogłaszającego się na czwartych stronicach dzienników kamerdynera, znajdującego kilka języków, umiejącego utrzymywać rachunki (to najważniejsza) i obeznanego z podróżami, aż do świeżo przybyłego do Warszawy wiejskiego chłopca, który ze szkoda szklanek, talerzy i sprzętów domowych, odbywa termin na przyszłą ozdobę przedpokojową — lokajstwo zajmuje mnóstwo szczebli, ociężając się głową o sekretarza, kasyera a nawet plenipotentę, a nogami koligając się ze stróżem, tym wszechwładnym panem podwórkowych śmieci.

To jednak jest rzeczą niezawodną i dowiedzioną, że im więcej lokajów, tém usługa gorsza. I dlatego niemało jest słusności w odezwanii się tego zruinowanego magnata francuzkiego, który w gniewie zawołał na swojego służącego:

— Lotrze! mam tylko ciebie jednego za lokaja, a jestem równie źle obsłużony jak księżę de Richelieu, który ma ich kilkunastu!

Tak zwany kamerdyner myśli tylko o zrobieniu majątku i najczęściej urzeczywistnia te swoje błogie zamiary. Przyjmuje on wyłącznie służbę u panów z historycznym nazwiskiem, u wysokich dygnitarzy, albo bogatych ludzi, a nawet godząc się do tych ostatnich, czyni pewne ustępstwo z godności swojej dla karyery piędziężnej, która w takich razach o wiele bywa szybszą.

Kamerdyner, w całym znaczeniu tej nazwy, to wzór dobrego tonu i konwenansów towarzyskich. Panu wolno się zaniedbywać w ubiorze, w zachowaniu się, w sposobie mowy — jemu nie. Zawsze wystrojony i ceremonialny, rzadko kiedy ukazuje się bez fraka i białych rękawiczek; w mowie używa

wyrażen wyszukanych i lada ostre słówko go razi. On jest wszechwładnym panem drzwi gabinetu swojego pryncypała, i na tém właśnie zawisa jego fortuna. Często utrzymuje rachunki z dostawcami, przemysłowcami, rzemieślnikami, i majster to nie lada na podwójną krédkę. Niejeden wytrawny celnik mógłby u niego jeszcze poteterminować.

Przy obecnem pomieszaniu się wyobrażeń, a nawet klas w społeczeństwie, przy ogólnem rozpanoszeniu się na każdym miejscu czarnego fraka, zatarłyby się pojęcia dawniej domowej ceremonialno-

domu i przyjmowania gości. Niechaj mu tylko zostawi swobodę działania, głównie zaś niech go obdarzy pieniężnem zaufaniem, a wszystko pójdzie dobrze i składnie.

Ale posiadłszy korzyści, musi także znosić i ciężary.

Kamerdyner, gdy młodość swoją spędził na służbie magnatów i dygnitarzy, nie może się uchronić od czynienia porównań, które zwykle na niekorzyść teraźniejszego pana wypadają, za pierwszym zaś powodem niezadowolenia, porównania z myśli do słów przechodzą i przybierają kształt najprzykrzejszego szpilowania, z wszelką jednak przyzwoitością wymierzanego. Bo kamerdyner w służbie zubożalego magnata czuje się uhonorowanym i ma dla niego tradycyjne poszanowanie, wchodząc zaś do domu milionowych nawet dorobkowiczów, wie on dobrze iż czyni z godności swojej ustępstwo i często daje im to uczuć.

Wychodząc jednak z ogólnego służbowego stanowiska, kamerdynerzy zwykle odpowiadają temu, czego się po nich wymaga i za co się im płaci. Że lubią szukać pieniężnych korzyści, o tém wie dobrze każdy przyjmujący ich do służby; złodziejów przecież w właściwym znaczeniu tego wyrazu mało jest pomiędzy nimi i w ogólności można przy nich śmiało zostawiać klucze nie tylko od przedmiotów pewnej wartości, ale nawet od cygar i tytoniu. Jeszcze pomiędzy kamerdynerami najczęściej się zdarza kilkanastoletni pobyt w jednym domu, tak że osiwawszy w służbie, prawie część rodziny stanowią.

Ponieważ posada ta wymaga już trochę wyższego ukształcenia i umiejętności służbowej, rzadko się zdarza żeby lokaj, posuwając się stopniowo w domowej hierarchii, wyszedł na dobrego kamerdynera. Owszem, godność kamerdynerka przechodzi często z ojca na syna, przechowując się jak urząd dziedziczny w pewnych rodzinach. Zenią się najczęściej z gospodynią, bonami, szwaczkami, pannami respektowemi, chociaż czasem wzrok ich śmiały i do guwernantek sięga.

Prawdziwy kamerdyner, uciulawszy nawet jakiś mająteczek, nie porzuca służby; żyje i umiera na wyłomie, z laską domowego marszałkostwa w rękę. Ale zdarzają się wyrodni bracia, którzy zarobiwszy na służbie trochę grosza, zakładają sklepiki i procedury różne i najczęściej tracą na nich, bo to nie ich jest rzeczą.

Pomiędzy kamerdynerami bardzo niewiele bywa pijaków i karciarzy, czują bowiem dobrze iż nawiązania tego rodzaju niewynagrodzoną stratę wyrządziłyby im w ich karierze. Czytając gazety pańskie, które wszystkie przechodzą przez ich ręce, lubią się zajmować polityką, a nawet biblioteką domową posiłkują się czasami, chociaż grunt ich czytania stanowią zwykle albo bardzo romansowe, albo strasznie zbójckie powieści (1). Dbali o białość i czystość rąk, używają wiele mydła, a nawet nie pogardzają żelazkiem do włosów. Największą krzywdą jaką im wyrządzić można jest zażądanie od nich lokajskiej usługi. Mówiąc o państwie, odzywają się *my, nasz dom*, a unikając bliższych stosunków z niższą służbą domową, dają jej na każdym kroku uczuć wyższość swoją. Często wtajemniczeni w albowinowe intryki, umieją dochować tajemnicy, odpowiadając w dyplomatyczny sposób wtenczas nawet, kiedy bynajmniej tego nie potrzeba. Dodać jednakże należy, że typ prawdziwego kamerdynera, jakie-

go tu opisaliśmy, coraz już rzadziej daje się u nas napotykać.

O szczebel niżej w służebniczym dygnitarstwie stoi kategoria lokajów.

Lokaje w domach zamożnych, lokaje pierwszej klasy, stanowią czoło lokajskiej społeczności, z pozoru zbliżają się do kamerdynerów, chociaż w rzeczy samej różnią się o wiele od nich. Kamerdyner za żadne pieniądze nie przywdzieje liberyi, dla lokaja zaś jest to tylko kwestya większej lub mniejszej zapłaty. Arystokratyczne instynkta kamerdyne-



SŁUŻĄCY WARSZAWSKY. KAMERDYNER.

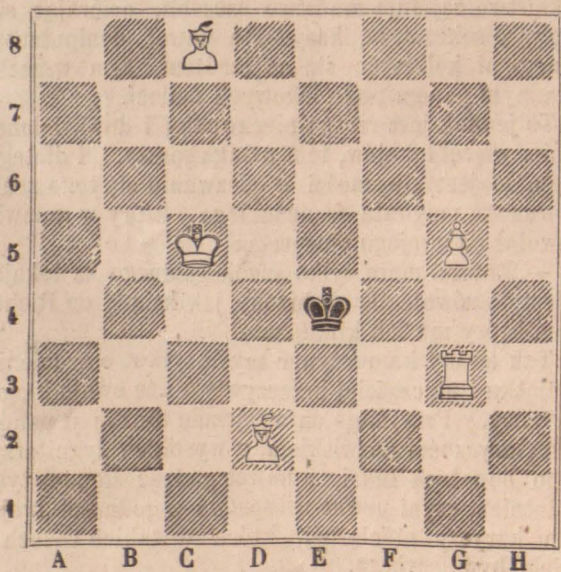
ści, gdyby kamerdyner nie czuwał nad niemi. Jest to jego arka przymierza, którą posiadał z tradycyi i której pilnuje niewzruszenie. Dla dorobkowicza dobry i wytrawny kamerdyner jest skarbem nieocenionym i chociaż często podwójnie opłacać go musi, bo czciogodny ten personat czuje dobrze ile uwłaszcza sobie wchodząc w dom nie z gruntu pański, to jednak nabytek kamerdynera jest pierwszym o którym człowiek co doszedł do znaczniejszej fortuny pomyśleć musi. Od kamerdynera uczy się form towarzyskich, sposobu urzędzenia

Szachy.

ZADANIE CCCLVIII.

Białe zaczynają i dają mata za 2-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 357.

Białe.

Czarne.

- 1) D4—E5 . . . 1) B5—D5† (najlepiej).
2) D6—C4† i mat.

(1) Kraży nawet pomiędzy nimi legenda o kamerdynerze w wielkiej damie zakochanym, a legenda ta nie wzięła początku z Marcina Podrzutka Eugeniusza Sue, o wiele bowiem wyprzedziła tę książkę.



SŁUŻĄCY WARSZAWSKY. LOKAJE.

rów, u lokajów zmieniają się w nadętość dorobkowiecką. Kamerdyner zna się na ludziach i umie ich ocenić według wyobrażenia jakie sobie o hierarchii światowej wyrobił. Hrabia, choć w wytartym fraku, pozostanie zawsze hrabią dla niego; dla lokaja zaś wytworny ubiór, piękny ekwipaż i rubel wciśnięty do ręki są niezbitemi dowodami pańskości. Królując w przedpokoju, nieznanym przybyśzów mierzy od stóp do głowy, do ich powierzchowności stosując przyjęcie.

Przez dziwną asymilacją, lokaj staje się nieraz przedrzędnieniem wad i przymiotów domu w którym służy. Rozejrzyj się dobrze po przedpokoju do którego wchodzisz, a poznasz z kim masz do czynienia. Jaki pan, taki kram, mówi przysłowie.

(Ob. dodatek).

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 401.
O megaskopy ubiegają się dziś fotografowie.

(Dodatek)

a do lokajów da się ono wybornie zastosować. Lokaje resursowiczów, urządzają pomiędzy sobą partye karciane, a służący arystokracji piędznej pożyczają na lichwę. Lecz chociaż pomiędzy nimi a panami u których służą istnieje taka *associatio idearum*, rzadko się zdarza żeby lokaj przywiązany był do domu, w którym nawet parę lat przebył. Owszem, bywa on wrodzonym wrogiem swojego pana, zawsze się za skrzywdzonego uważając, a jedyną krzywdą jest to, że go los w przedpokojowym stanowisku umieścił, że musi płaszcze podawać, froterować posadzki i pełnić obowiązki służby.

Stan moralny tych ludzi w ogóle bardzo jest zaniedbany i nie dziwić się temu. Trzeba bowiem wiedzieć że jeżeli zdarzy się w jakiej ubogiej rodzinie chłopak wisus, jak to powiadają ani do Boga ani do ludzi, któremu nie chce się iść do szkoły, a o terminie ani mówić sobie nie da, woli bowiem baki zbijać lub polować na jaki łatwy zarobeczek, — o takim już z góry można być przekonany, że go powołanie ciągnie na lokaja. Tak po wsiach naprzykład, jeżeli o jakim chłopcu nabędzie się przekonania, że nie może być ani dobrym ratajem, ani fornałem, ani parobkiem, państwo biorą go do dworu i tam z wielką szkodą kredensu i garderoby kształci się w rzemiośle lokajskim, aż wreszcie, nabwszy praktyki, udaje się do Warszawy, gdzie każda wyższa zdolność znajdzie zawsze stosowne ocenienie.

Mówi się: zuchwały jak lokaj, i mówi się słusznie, jest to bowiem wyborne określenie pewnej kategorii zuchwałstwa. Nie sięga ono wysoko, nie pochodzi z żadnego poczucia godności własnej, ale jest tylko sposobem zyskania czegoś dla siebie. Lokaj nie poczuwa się zwykle do żadnej domowej solidarności; jest to żywioł ujemny, wprowadzony w rodzinę. Młody lokaj z powołania jest garderobianym Don Juanem, ma dobrą opinią o sobie i stara się ją powodzeniem usprawiedliwić. Nieprzyjacieli związków małżeńskich, w ostateczności tylko albo w widokach zysków osobistych składa ofiarę pochodni hymenowej. I tём niebezpieczniejszy bywa wówczas, bo potrzeby i wymagania jego w dwójnasób rosną.

Lokaj wierny jest dziś prawdziwym wyjątkiem. Ludzie ci stworzyli dla swojego wyłącznie użytku osobny kodeks moralności i trzymają się go ściśle.

Do kradzieży pieniędzy rzadko się posuwają, chociaż i takie wypadki częstsze są teraz aniżeli dawniej; ale zresztą w domu niczego nie ustrzeżesz przed nimi. Wszystko muszą zbadać, obejrzyć, poruszyć; cygara, tytuń, cukier, herbatę i t. p., uważają jako rzeczy ogólnego użytku, które nakształt powietrza i wody są wspólną wszystkich ludzi własnością. Więc bez żadnego wyrzutu sumienia przywłaszczają sobie te przedmioty, nawet często bez potrzeby, byleby nie wyjść z chwalebego przyzwyczajenia.

Lokaj przybywający świeżo do domu, to jak ciekawy podróżnik przybywający do nowego ładu: musi zbadać całą miejscowość, zwiędzić wszystkie zakątki, wszystkie skrytki. A chociaż przytém jedna lub druga rzecz się uszkodzi, mniejsza o to, wszak to nie jego strata. Owszem, uważa się on w domu pańskim jako żołnierz w szturmie wziętym mieście nieprzyjacielskim. Lubuje się nawet czasem w niszczeniu, jakby tłuczenie półmisków, talerzy, szklanek i kieliszków przyjemność mu sprawiało.

Lokaj nie lubi długo siedzieć na miejscu, mało który starzeje się teraz w jednej i tój samej służbie. Marzeniem każdego lokaja jest wyjść na woźnego, wysokie ma bowiem wyobrażenie o zyskach jakie woźni osiągać muszą. Rzadko się jednak zdarzy żeby zdołał się rzeczywiście usadowić na pocziwym zarobku. Ozdoby stanu lokajskiego wychodzą na szynkarzy lub właścicieli sklepików z wiktuałami; niektórzy awansują na markierów; inni jeszcze, przechodząc wszystkie szczeble zepsucia, kończą na sądzie poprawczym. I nic dziwnego: lokaj, chociaż Woltera nie czytał, jest jednak wolteryanistą z powołania; do kościoła nie chodzi, postów nie zachowuje, a ze spowiedzi się śmieje. Bywa to nawet u niego pewnym rodzajem afiszowania moralnej wyższości w obec garderobianych i wszelkiego rodzaju służby żeńskiej, na której zepsucie wpływa niepomaha.

Lokaj kawalerski jest najgorszym okazem całego plemienia lokajskiego. Uważa on pana swojego za

ofiara, dającą się na wszelki sposób obdziierać, a służbę za dożywocie, na którym bez pracy żyje się wygodnie i dostatnio. Znają oni wybornie słabości swoich panów i umieją je wyzyskiwać na swoją korzyść. To też u kawalerów lokaje najdłużej się trzymają w służbie.

(Dokończenie nastąpi).

Szwagrowa wzór niewiasty. (*)

(Przekład z serbskiego).

Boże miły, chwała Ci we wszystkim!
Boże miły pomóż Ty każdemu,
Wszystkiej braci i junakom dobrym! (1)
Karmi matka wąż dwa synaczki,
W smętne dzionki i głodowe lata,
Karmi przedzą i prawicą własną,
Gdy najdroższy pokarm był do życia,
Oko maki po trzydzieści groszy. (2)
Tak je karmi i tak wykarmiła.
Gdy już syny do zeniaczki wzrosły,
To ich obu pożeniła matka.
Dwoje dziewcząt pięknych im przywiodła,
Wid wziął Winke, Dawid wziął Kowilkę.
Krótko żyły z braćmi te szwagrowe,
Ledwie tylko trzy przeżyły lata;
Kiedy czwarte lato zawitało,
Kaźda z nich jednego rodzi syna:
Winka — Mirka, Kowilka — Marynka.

Lecz nie przeszło jedno jeszcze lato,
Ani lato ni połowa lata,
Zaniemogła kobięcina Winka,
Zaniemogła i już musi umrzeć.

Więc do siebie woła swą szwagrową:
„Oj! Kowilko!... miła siostró moja,
Ja słabuję i umierać muszę;
Weź ty w pieczę tę sierotkę moją,
Tę sierotkę moją jako własną,
I dogładaj mojej tój sierotki.
Marynkowi kiedy dasz bułeczkę,
I Mirkowi memu, siostró, podaj;
Ale podaj mu od chleba skórę;
Niech wie każdy że on jest sierotą,
Że mój Mirko swojej matki nie ma.
Oj Kowilko!... miła siostró moja,
Gdy koszulkę Marynkowi sprawisz,
Napraw memu też Mirkowi starą;
Niech wie każdy że on jest sierotą,
Że mój Mirko swojej matki nie ma.
Oj Kowilko!... miła siostró moja,
Kiedy święta przyjdzie wam niedziela,
Gdy z drugimi na ulicy siedziesz,
Na kolana weź Marynka twego,
Mirka posadź wedle siebie nizko,
Niech wie każdy, że on jest sierotą,
Że mój Mirko swojej matki nie ma.
Oj Kowilko!... miła siostró moja,
Gdy zawita wielkanocne święto,
Kiedy dzieciom suknie krajać przyjdzie,
Swoim krajcie jak się wam podoba,
A memu dajcie całą czarną;
Niech wie każdy że on jest sierotą,
Że mój Mirko swojej matki nie ma.
Oj Kowilko, miła ty szwagrowo!
Ile razy do cerkiewki pójdziesz,
Swoje dziecię ponieś na swém ręku,
A za rękę powiedz mego Mirka;
Niech wie każdy że on jest sierotą,
Że mój Mirko swojej matki nie ma.“

To wypowiedź kobięcina Winka,
To wypowiedź i oddaje ducha.
Chwała Bogu, chwała jedynemu!
Toć z Kowilki czuła jest stryjenka,
I wie ona co sieroca dola,
(Od dzieciństwa wszak sierotą była).

(*) W N-rach 399 i 400 naszego pisma daliśmy wizerunek i życiorys Wuka Stefanowicza Karadzicza, znakomitego zbieracza pieśni ludowych serbskich. Obecnie ze zbioru tego badacza zamieszczamy w przekładzie jeden ustęp, jako próbę narodowej poezji serbskiej. (Przyp. redak.)

(1) *Junak* w serbskim ma znaczenie więcej bohatera jak śmiałka; za przykładem Romana Zmorskiego zostawiamy wyraz, by nie przeistoczył jego znaczenia.

(2) W oryginale *trideset dinara*. Denar, w przekładzie grosz, jako zasadnicza jednostka monetarnej wartości.

I Mirkowi piérwój daje bułkę,
Piérw Mirkowi niżli Marynkowi;
Kiedy święta wita ją niedziela,
Gdy z drugimi na ulicy siedziesz,
Na kolanach Mirka sobie sadza,
A Marynka wedle siebie nizko.
Nikt też nie wie, że on jest sierotą
I że Mirko swojej matki nie ma.
Gdy zawita wielkanocne święto,
Kiedy dzieciom suknie krajać przyjdzie,
Też Mirkowi co i Marynkowi,
Szkarlał czysty i zielony jedwab...
Gdy Kowilka do cerkiewki idzie,
To prowadzi obu ich za ręce.
Błogosławi naród też stryjenkę,
I niebieski Pan ją błogosławi.

Oj Kowilko!... wzorem tyś niewiasty!
Twych rodziców dusza też pocziwa,
Gdy cię taką porodzili mądrą,
Między obcych ludzi cię puścili,
Byś wiedziała co sieroca dola!
Boże miły, chwała Ci za wszystko!...

Karmi matka dwoje małych dzieci,
Tak karmiła do lat siedemnastu,
A gdy przyszło osiemnaste lato,
Pisać poszli carscy wezyrowie,
Po cesarskiej poszli pisać ziemi,
By gromadzić do carskiego wojska.
Więc gdzie w domu cztery męskie głowy,
To trzy z czterech zabierają oni,
Gdzie zaś troje, zabierają dwoje,
A gdzie dwoje, biorą tam oboje,
Gdzie zaś jedna, i tę jedną biorą.

Przyszła kolej na Kowilki domek,
Więc też idą Mirko i Marynko,
Idą obaj do carskiego wojska,
I tak obu wyprawiła matka,
Do carskiego wyprawiła wojska.
Kiedy w piérwszą poszli obaj walke,
Kiedy w ogień uderzyły dzieci,
Broń wypali z ognia najpiérwszego,
Broń wypali i Marynka ściele.
Sam sierota został się już Mirko,
Sam się Mirko w carskim został wojsku.

Tak wojował aż do lat dziesięciu.
Gdy dziesiąte zawitało lato,
Carskie wojska wkoło się rozeszły.
Mirko wraca do białego dworu
I stryjenkę w domu zastał starą;
Więc ją karmił tam sierota Mirko,
Tam ją karmił, potem ją pogrzebał,
Jakby swoją najrodzajszą matkę,
Jak się godzi i jak Bóg przykazał.

Floryan.

LISTY Z WYSTAWY PARYZKIEJ.

V.

Paryż, 18 maja 1867 r.

Nie przypominam sobie w tój chwili który z pisarzy angielskich, mówiąc o wszystkich w ogóle płodach przemysłowych, podzielił je na dwa wielkie działy, piérwszy obejmujący *tkaniny*, drugi zaś to wszystko co z powodu swego kształtu lub gatunku materiału do tkanin zaliczonóm być nie może. Podział ten, zakrawający pozornie na paradoks ekonomiczny i któremu ścisła teoria naukowa wiele zarzucićby mogła, nie jest jednak tak dalece niestosowny, jakby zrazu mniemać wypadało. Wnikawszy w rzeczywistość, przekonać się łatwo, jak niezmierny obszar ogólnego ruchu przemysłowego przypada na udział *tkanin*. Wystawa powszechna 1867 r., równie jak jój poprzedniczki, najlepszym są w tym względzie dowodem.

Zastanowiwszy się bliżej nad tą gałęzią działalności ludzkiej, porównać ją można z najdoskonalszym zwierciadłem, odbijającym potrzeby, zwyczaje, skłonności i naturę każdego narodu; jest ona zarazem miarą jego wykształcenia, stopnia cywilizacji, ogłady i smaku. Począwszy od grubych, brunatnych wołków, dających schronienie koczującym plemionom, aż do najwytworniejszych koronek belgijskich, po-

cząwszy od sierści dzikich zwierząt, aż do sztucznej wełny, od pierwotnego kółka i odwiecznych krosien, do najkunsztowniejszej maszyny, — pałac wystawy mieści w sobie wszystkie szczegóły, okazy i przyrządy, będące w związku z wyrobem tkanin. Należą one do grupy IV-jej, podzielonej na 9 klas (od 27 do 36).

Chcąc mówić o naszych produktach, w wielkim rzeczywiście znajduję się kłopotcie. Przyzwyczajeni do pochwał jakich im nie skąpią pisma warszawskie, przemysłowcy oburzyliby się na mnie mogli, gdybym im szczerą, *nie obwijając w bawełnę*, wypowiedział prawdę; milczeniem znowu nie mogę pokryć tej tak niezmiernie ważnej gałęzi przemysłu, w której niezbyt jeszcze dawno kraj nasz zaszczytne zajmował stanowisko. Nasze korty i sukna, w średnich mianowicie gatunkach, mogły śmiało ubiegać się o pierwszeństwo, nie mówię już z niemieckimi, ale nawet z francuzkami; tradycyjalnej wziętości sukna fiderowskie najwymowniej o tym przekonywają. Płótna czy to domowego, czy fabrycznego wyrobu (Zyrardów), płócienna i perkaliki łódzkie czyniły zadość nietylko zwykłemu potrzebom, ale zadowalały nawet wyszukane wymagania. Co się z tym wszystkiem stało, rzeczywiście trudno odpowiedzieć, dość że jeżeli sądząc po innych przedmiotach, widziemy w ogóle chód wolny, ociężały, postęp leniwy, tu z boleścią użyć musimy wyrazu *upadek*. Wnikać w jego powody, podawać środki ratunku, nie tu czas i miejsce, kiedyindziej i gdzieindziej obszerniej może pomówię o tém; w tej chwili wskazuję jedynie na fakt nagi, istotny, któremu nikt, nawet żaden z pp. wystawców, zaprzeczyć nie może. Zresztą nie do tych się zwracam, którzy przyjęciem udziału w wystawie obecnej dowiedli przynajmniej że pracują, że myślą o postępie, że żyją, a którym wdzięczność raczej należy się za te chwalebne usiłowania, ale do tych, którzy przodując dotąd, spojeli na laurach i zapomnieli że przy każdej sposobności dawać należy dowody swej pracy i o dobro ogólne dbałości. Niejeden z nas pamięta poprzednie wystawy warszawskie, a kto je oglądał, z łatwością przypomni sobie te wspaniałe *postawy* różnobarwnych sukien, rozwieszane w salach ratuszowych, korty wówczas jeszcze będące u nas nowością, a jednak zwracające uwagę równością i czystością wyrobu, białe jak śnieg płótna i gustowne płócienna. Czyżby nagle owce nasze przestały okrywać się wełną? czy len zgrubiał i wyrodził się? czy zbrakło bawełny w składach zagranicznych? czy robotnik nasz mniej jest zdolny i pojętny aniżeli Anglik, Francuz lub Niemiec? czy maszyna ustawiona w Łodzi lub Opatówku, mniejszą posiada siłę i działalność aniżeli jej siostra z Roubaix lub Mulhouse? Nie, po sto razy nie! Czemuż więc Łódź, pierwsze miasto przemysłowe królestwa, czemu osada zyrardowska lub Opatówek nie tu nie nadesłały? Z którejkolwiek strony pytanie to rozbiierać będziemy, odpowiedź wypadnie zawsze potępiająco dla pp. fabrykantów. Nie mogą się tłumaczyć brakiem czasu, od dwóch lat bowiem wiedzieli o przygotowującej się wystawie; nie mogą się tłumaczyć brakiem środków, władza bowiem porobiła im takie same jak innym ułatwienia. Obawa także niekorzystnych porównań, zle zrozumiana miłość własna nie usprawiedliwia nikogo. Przedewszystkiem, gdy środki są po temu, trzeba robić dobrze; powtóre niezawsze i nie we wszystkiem celować można; potrzeba, a rzecz to jak mniemam ważna, podobne zestawienie różnolokowych a jednogatunkowych produktów dla samych pp. fabrykantów, a następnie i dla konsumentów jest najbardziej pouczającym i zachęcającym do postępu i przestawiania na swoich wyrobach. Gdybyśmy częściej i w staranniejszych jak zwykle okazach mieli sposobność oceniania naszych fabrykantów, nie ubiegilibyśmy się tak chętnie za lipską lub wrocławską tandetą, zasypującą nasze składy i magazyny; każdy wolałby raczej drożej zapłacić za swoje, lecz dające pewność sumiennej i trwałego wykonania, aniżeli szukać obcego. Odwołuję się w tej mierze do świadectwa naszych kupców i całej publiczności; ale głównie leży to w obowiązku i interesie samych przemysłowców. Można być pewnym że ten kto widział na wystawie nasze fotogramy, kto słyszał nasze fortepiany, nie będzie leciał do Berlina ani Wrocławia, by się fotografować lub nabyć instrument, ale pójdzie do Klocha, Mieczkowskiego, Krala lub Małeckiego i bezwarunkowo skorzysta

na tém; czemuż więc nie moglibyśmy powiedzieć tegoż samego o naszych tkaninach, tych mianowicie, które stanowią przedmiot ciągłego i codziennego użytku, tém bardziej, że jak to już raz wspomniałem, niezbyt jeszcze dawno tego rodzaju wyroby nasze do najlepszych liczyć było można?

W jednym z poprzednich moich listów mówiłem o wełnie sztucznej; tu dodać winienem, że fabryka tego rodzaju istnieje u nas w Warszawie, pod firmą *Farbstein i Kleiff*, a nadesłane na wystawę próbki bardzo korzystne dają o niej pojęcie. Innych nazwisk nie wymieniam, a tylko raz jeszcze powtarzam, że tym którzy coś nadesłali, należy się podziękowanie za dobre chęci. Nazwiska ich czytaliście zapewne kilkakrotnie w pismach naszych; wyroby wyglądają czysto i porządnie, ale nie posiadają zbyt uderzających zalet. Być jednak może iż przysięgli, korzystając z powiększonej obecnie ilości nagród, i o nas także nie przepomną.

Porównując między sobą tkaniny wystawione w innych oddziałach, widziemy że pod względem tanioci tych mianowicie wyrobów, w których pierwszym jest głównym jest wełna sztuczna, pierwszeństwo należy się Anglii, skoro naprzykład metr bardzo okazałego sukna nabyć można za 1 fr. 75 c. W suknach cienkich z czystej wełny niezaprzeczone jest przodownictwo Francji, tak pod względem doskonałości materiału, jak ubarwienia, równości i jednorodności wyrobu. Jednakże, zdaniem niektórych specjalistów, Austria stoi na jednej linii z Francją; mianowicie też jasne korty i sukna austriackie w wysokich gatunkach, bodaj czy nie lepsze są od francuzkich. Wyroby grube wełniane, jak: kołdry, okrycia, dery, dywaniki powozowe, wreszcie korty, tkaniny używane na wierzchnią odzież męzką lub damską, w Anglii doprowadzono do niesłychanej doskonałości. Gdybym chciał dawać przykłady, musiałbym wymienić wszystkich wystawców W. Brytanii. Toż samo możnaby powiedzieć o cienkich tkaninach francuzkich, jak merynosy i t. p., chociaż ceny nieporównanie są wyższe od angielskich. Płócienna i perkaliki belgijskie daleko wyprzedziły swoich współzawodników; tanioci, równość i czystość wyrobu, nadzwyczajna a zawsze gęstotna różnorodność płócienek belgijskich, usuwa nawet możność współzawodnictwa; ani Niemcy, ani Szwajcary, ani Francja ostać się przy nich nie mogą. W tych samych prawie wyrazach powinienbym mówić o cienkich płótnach lub batystach belgijskich, przez które tymczasowa wziętość płócien irlandzkich i holenderskich zupełnie przyćmioną została. Aby wam dać pojęcie o doskonałości do jakiej doszły w tej mierze fabryki belgijskie, dość powiedzieć że metr kwadratowy weby cienkiej jak pajęczyna rozwieszony w powietrzu, wytrzyma przez dwadzieścia cztery godzin ciśnienie 10—18 kilogramów (30 funtów), bez najmniejszego uszkodzenia. O koronkach belgijskich nie potrzebuję nawet mówić, bo żadne najdokładniejsze opisy nie mogą dać o nich pojęcia; jestto poezja przemysłu, ujętego w najcudowniejszą formę. Kto widział na wystawie koronki belgijskie, nie zadziwi się bynajmniej, że za jedną suknię koronkową fabrykant żąda 50,000 franków.

O ile Belgia w wyższych, o tyle Prusy celują w niższych gatunkach płócien; szlązkie mianowicie wyroby, tak pod względem dobroci, mięsistości i równości, jak pod względem czystości nie nie pozostawiają do życzenia. Oglądałem białe chustki do nosa, w cenie 1go talara za tuzin, płótno na białiznę od 15 do 20 talarów za sztukę, a nie wierząc sam sobie, zapytywałem znawców-fabrykantów, którzy mnie zapewnili, że nie są to bynajmniej ceny wystawowe, ale zwykłe, fabryczne. Poczyniono też u nich zamówienia niesłychane do wszystkich części świata. Wystawa pruska w ogóle jest typem zamożnego mieszczaństwa, dobrobytu, spokoju i zadowolenia.

Nie należy tu szukać wytwornego smaku, elegancji, estetycznych kształtów, lub harmonii barw; są to wszystko zalety drugorzędne, dodatkowe, bez których obejść się można; ale za to tanioci, sumiennoci wyrobu, czystość użytego materiału, użyteczność ogólna, niezmiernie korzystne dają wyobrażenie o przemyśle pruskim. Naśladownictwo jednak wzorów francuzkich lub angielskich, jest zwykle ciężkie, nieudatne. To co w tej chwili mówię o tkaninach, zastosować można i do brzozy,

porcelan, jedwabów, stolarstwa, słowem do wszystkiego. Do pewnego stopnia przemysł pruski, a co dziś na jedno wychodzi, niemiecki, jest doskonały; poza tą granicą jest komiczny, przypominający że tak powiem owe figurki gipsowe, papugi lub cytryny z wosku, jakie czasami napotykałyśmy jeszcze na bocznych traktach w salonach propinatorów lub pisarzy prowentowych. Do tej samej kategorii należą niemieckie stroje, kapelusze męskie, odzież męzka i damska. Wszystko to, przybrane w francuzkie lub angielskie etykiety i napisy, stanowi niezmiernie ważny i korzystny artykuł wywozowy, chciwie przez sąsiadów chwytny i drogo opłacany; jestto właśnie element owęj lipskiej i wrocławskiej kramarszczyzny, jaka u nas tak chętny znajduje pokup.

Zbacząc od materii, donoszę wam w końcu, że kwestya medalu dla *Matejki* jest jeszcze nierozstrzygnięta, mniemam jednak można że go otrzyma z pewnością; dalej że na wystawę włoską przybyła statua Dawida, dłuta *Oskara Sosnowskiego*, a na bawarskiej (która należy do najpiękniejszych i najstaranniejszych pod względem sztuk pięknych) znajduje się wielki obraz *Brandta* Jan Chodkiewicz pod Chocimem, o którym, jak również o utworze *Matejki*, w następnym liście obszerniej pomówię; wreszcie że przysięgli międzynarodowi przyznali wczoraj wielkie wyjątkowe nagrody, za zasługi nadzwyczajne, następującym wystawcom: *cesarzowi Francuzów* za domy robotnicze; pp. *Jakobi* z Berlina za udoskonalenie galwanoplastyki; wydawcom *Mame* z Tours za nadzwyczaj tanie a ozdobne i pożyteczne wydawnictwa; zakładem *Polin Gaudet* za odlewy metalurgiczne (przepyszne); p. *Mathieu* za narzędzia chirurgiczne; p. *Sznejder* wice-prezesowi ciała prawodawczego, za wzorowe urządzenie olbrzymich zakładów kopalnianych i odlewowych w Creusot; p. *Hugues* za udoskonalenia telegrafów elektrycznych; p. *Lesseps* za kanał Suez; angielskiemu towarzystwu do ratowania rozbitków i tonących; domowi *Farcot* za maszyny parowe; p. *Pasteur* za wynalezienie środków zabezpieczających wina od zepsucia; p. *Marès* za takie środki przeciw zarazie winogron; stowarzyszeniu międzynarodowemu pomocy i ratunku dla rannych na placu boju; p. *Dufresne* za wynalazek nadzwyczaj ważny złoczenia za pomocą merkuryusza, bez żadnego niebezpieczeństwa dla robotników, wreszcie *Algeryi* i *Brazylii* za uprawę bawełny.

Michał Szymanowski.

Gawędy pedagogiczne.

I.

Ważność przyzwyczajania w wychowaniu dzieci.

Przed kilku miesiącami przechodziłem przez Saski ogród. Był mróz dziesięciostopniowy, a śnieg białą oponczą okrył rozległe trawniki. Przechadzających się nie było wcale, a przechodniów niewiele. Dzieci, z taką wesołością królujące tutaj w lecie, przestraszone zimnem, nie zajrzały wcale do ogrodu. Było smutno i ponuro. Wtém, przechodząc aleją pod murem ogrodu ordynackiego, dostrzegłem na trawniku kilku studencików, obrzucających się wzajemnie kulami ze śniegu. Przystanąłem, z zadowoleniem przypatrując się rzeźkości dzieci, ich rumianym policzkom i zaiskrzonym oczętom. Zabawa szła doskonale; pigułki tylko furkały w powietrzu i jakby białym pudrem zasypywały usta i oczy małych swawolników. Aż miło było patrzeć na dziarskość tej młodzie, na życie tryskające z każdego muskułu ich twarzy, aż radość brała słysząc ich wesołe wykrzyki.... Patrzyłem się tak długo, wspominając sobie młode lata, i zimy, i ślizgawki, i pigułki, i bałwany śniegowe. Wspomnienia te przerwał mi jakiś poważny jegomość, w futrze, w rękawicach i galoszach, ciągnący aleją naprzeciw mnie. Skoro ujrzał bawiących się chłopców, podszedł ku nim iszorstkim głosem zawołał:

— Co to za brewerye wyprawiacie, smarkacze? A do książki, do domu, nieuki, a nie do pigulek! Jeden drugiemu oko wybije jeszcze i będzie nieszczęście na całe życie.

Na takie groźne słowa chłopcy furknęli jak sploszone ptaszęta, oglądając się tylko za poważnym je-

gomością, jak bomba wpadł w ich ochoczą śniegową zabawę.

Mnie żal się zrobiło chłopaków i nie rozumiałem doprawdy coby te zabawy szkodziły poważnemu jęgomości. Zwróciłem się przeto ku niemu z pytaniem:

— Przepraszam za śmiałość, ale nie mógłby mi pan dobrodziej powiedzieć, co upatrujesz zdrożnego w zabawie tych chłopców?

— Co? Znać zaraz żeś pan młody i nie wiesz jeszcze co to jest miłość i pieczołowitość rodzicielska. Ci malce, bawiąc się ze śniegiem, mogli się zaziębić, zachorować i umrzeć.

— A jednak, jeżeliś pan był kiedy na wsi, toś dostrzegł zapewne że dzieci włościańskie bardzo często wśród zimy bawią się na dworze, a przecież zdrowe jak ryby w wodzie, a rumiane jak jabłuszka.

— To co innego, bo dzieci włościańskie już z małego są do tego przyzwyczajone.

— Przyzwyczajone, powiadasz pan, i prawdę pan powiadasz. Rzeczywiście, dzieci włościańskie są przyzwyczajone i do chłodu, i do wilgoci, i do gorąca, dlatego przenoszą wszystko snadnie. Ale dla czegożby dzieci nie włościańskie, dzieci miejskie, nie mogły tak samo do głodu i chłodu się przyzwyczaić? Przyszłość ludzi jest niezbadana. Okoliczności niszcą fortuny i stanowiska. Wychowawcy edredonowi, częstokroć o kromkę czarnego chleba muszą krwawym potem się zlewać. Dla czegoż więc nie mamy dzieci naszych wychować tak, aby w każdym czasie, w każdej okoliczności mogły sobie dać radę? Dziś tak je zwykle chowamy, jak gdyby tylko gościńcem kwiatami wysłanym miały chodzić. Od małego chuchamy na dzieci, ścielamy im łóżeczka puchem, okrywamy je futrami, ubieramy w jedwabie, karmimy ciastkami i konfiturami i zamykamy przed zimnem. Dzieci pędzą młode lata w zbytku i w pieszczocie, uczą się zawsze patrzeć na ręce rodzicielskie, a unikać wszystkiego co utrudzić może. Tak wychowany młodzieniec staje się lalką, którą ktoś drugi musi ubrać, pasożytem, który sam siebie nakarmić nie potrafi, istotą nie umiejącą sobie radzić, którą każdy za nos wodzić będzie. Istota ta do niczego póty żyć będzie wygodnie, póki majątek rodzicielski starczy, a gdy ta studnia wyczerpie się, nastąpi nędza, podłość, oszustwo. W miejsce pożytecznego członka społeczeństwa, powstanie zawada społeczna, roznosząca trąd, zamiast błogosławieństwa pracy.

— Więc podług pana, z dziećmi takby się trzeba obchodzić jak ze zwierzętami?

— Chcesz mnie pan przyprzeć do muru tym zapytaniem, ale napróżno. Przyznaję że z ciałem dziecięcia potrzeba tak się obchodzić jak ze zwierzęciem. Potrzeba dbać aby ono się rozwijało swobodnie, aby było zawsze w stanie zdrowym i czerstwym, aby służyło godnie duchowi w jego działalności, aby dozwoliło człowiekowi spełniać obowiązki względem społeczeństwa, aby nie narażało harmonii ekonomicznej świata. Choroby i słabe zdrowie narażają tę harmonię, skazując ludzi chorowitych i słabowitych na próżnowanie; gdy praca i postępek jest zasadą bytu społecznego.

— Od tego są lekarze, aby ową harmonię nadwreżoną naprawiali.

— Prawda, ale dobrze się pan wyraził: lekarze naprawiają i w tym ich zasługa, jak znowu wina ciąży na tych którzy niszcą zdrowie. A co niszczy zdrowie? bardzo rzadko przypadki, prawie zawsze wychowanie domowe, wypuszczające w świat młodzież rozpieszoną, wychuchaną, wybladłą i wynędzniałą, młodzież goniącą za zbytkiem, za komfortem i bez tysiącznych potrzeb niczém nieusprawiedliwionych żyć nie mogącą. A wiesz pan kto ich tego wszystkiego nauczył i do wszystkiego przyuczył? Przyzwyczajanie w domu od dni dzieciennych. Skoro zatem przyzwyczajanie mogło zrobić z naszej młodzieży słabych, wychuchanych, bezradnych próżniaków, strojnisiów, wygodnisiów i zmarzluchów, toż samo znowu przyzwyczajanie, naodwrot stosowane, wprost przeciwne wydać może i musi skutki. Jędrzej Śniadecki powiada: „Szaleńcami są rodzice którzy miękko, w wygodkach, pieszczotach i próżniactwie chowają swe dzieci, których miłość tak zaślepią, iż nie widzą drogi do rzetelnego ich szczęścia.“ A drogą tą jest właśnie przyzwyczajanie do skromności i pracy, rozsądne

hartowanie się w zimnie, wilgoci, gorącu i t. p. Dzieci można kochać, ale pieścić ich i dogadzać wszelkim ich zachceniom nie wolno. Dziecko nie powinno spać w puchach, lecz poprostu na sienniku i pod lekką kołdrą, a nie pod pierzynami. Do zimna i wilgoci potrzeba przyzwyczajać je myciem i kąpaniem w zimnej wodzie, przechadzkami choćby w najzimniejsze i najsłotniejsze dni, zabawami na śniegu, ot, takimi pigułkami śnieżnymi lub toceniem bałwanów. Do rzeźkości i wesołości przyzwyczajać biegiem, ślizgawką, grą w piłkę, gimnastyką i t. p. W miejscach futer i czapek futrzanych, ubierać je w watawaną odzież; jedwabne lub inne drogie sukienki zastąpić prostymi bluzami, aby tym sposobem nie przyzwyczajać dzieci do zbytków, które często na starość kością, jak to mówią, wychodzą. Jedzenie powinno być bardzo proste, z potraw najzwyczajniejszych, takich które są pokarmem ubogich. Do pracy dzieci przyzwyczajać także, ale nie do samej pracy tylko czytania pisania i t. d., lecz do wszelkich prac najpospolitszych nawet, jak np. do pielienia i sadzenia w ogrodzie, zbierania jagód, do mycia statków, i t. p.; co więcej, dawać im nawet za te prace pewne choćby niewielkie pieniężne wynagrodzenie, aby tym sposobem nietylko przyzwyczajać dzieci do rozmaitych rodzajów pracy, ale jednocześnie dać im zasmakować przyjemność, jaką czyni grosz zapracowany, strzegąc się jednak pilnie rozbudzenia chciwości.

Oto w treści rozmaite sposoby, których rezultatem stanie się to co Montaigne powiedział: „Dzieci wasze nie będą wówczas ładnymi pieszczoszkami i mazgajami, ale żywymi jak skry i silnymi jak dębczaki, a w dodatku będą ludźmi, nie lalkami fryzjerskimi, będą pracownikami, nie darmozjadami i pieczeniarkami.“

Poważny jegomość słuchał mych słów i wywodów z niedowierzaniem, z takim samym zapewne, z jakim wielu czytelników przegląda te kartki, i doszedłszy do bramy ogrodowej, pożegnał się zemną w milczeniu. Ja zaś szedłem dalej i rozważałem sobie, jaka to szkoda że nasze pisma peryodyczne tak mało zajmują się sprawą wychowania dzieci i że nasze wyższe klasy społeczne nie znają dzieła Lockego „O fizycznym wychowaniu dzieci“, w którym to dziele przeprowadzoną jest zasada: że ludzie wyższych klas społecznych winni postępować ze swemi dziećmi tak, jak postępują *porządni* wieśniacy ze swemi. O zasadzie tej w następnej może powiemy gawędzie.

Aleksander Makowiecki.

ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Powieść

Waleryi Morzkowskiej.

(Dalszy ciąg).

Zmordowany tym palącym uczuciem, siedziałem nieruchomy, pożerany gorączką, jak lodowata skała, w której głębi wre ogień niewygasły, drząc przy bladym słońcu wiosnianem, — gdy niespodzianie na drodze widającej do dworu ujrzałem dwóch jeźdźców. Zbliźali się coraz bardziej, aż w końcu na dziedzińcu moim poznałem Herakliusza.

Hrabia, ubrany z zwykłą wytwornością, powodując rzeźnicę angielskim koniem czystej krwi, uśmiechnięty, swobodny, był co się zowie jeszcze świetnym jeźdźcem. Postać jego wyniosła, bez żadnej sztywności, lekko podana naprzód, była pełna wdzięku; ręka starannie obciśnięta rękawiczką, trzymała niedbale cugle spienionego konia. Włosy nawet, rozwiane biegiem i górkim wiatrem, zdawały się bogatsze, wymykały się z pod letniego kapelusza.

Hrabia na koniu, mógł zwrócić każde oko na siebie. Gdy ze wdziękiem niewymuszonym podjechał pod ganek, ujrzawszy mnie, lekko zeskoczył z siodła i rzucił cugle jadącemu za nim groomowi.

Byłem zdumiony tym widokiem, ale i szczęśliwy razem. Herakliusz przybywał od niej, z jej domu, widział ją przed chwilą, niósł mi o niej wieści. Witalem go z bijącym sercem, a jednak gdy dotykał ręki jego, przebiegł mnie dreszcz dziwny, jakby za dotknięciem gadu.

Po pierwszych słowach bez znaczenia, weszliśmy do pokoju. Czułem że odwiedziły te niespodziawa-

ne, bez celu nie były i lękałem się tego co mi przynosiła. Ale z twarzy gościa nie wyczytałem nie mogłem; czułem tylko że jego szklane źrenice utkwione były we mnie. On dobadywał się pewno przyczyny rozstrojenia i smutku, widocznego na mojem czole, którego odgadnąć nie mógł, bo smutek ten dla mnie samego był tajemniczy, pochodził z instynktu, może z przeczucia.

Zapewne sądził że zastanie mnie innym; jednak nie pokazał po sobie zdziwienia, nie zdawał się nawet zwracać na mnie bacniejszej uwagi.

I ja w owej chwili zapomniałem o zwątpieniach i burzach miotających mną noc całą. Złowieszcze mary zgorączkowanej głowy rozpierzchyły się nagle, i zapytałem samego siebie, czemu cierpiałem przed chwilą. Teraz byłem znowu silny, ufny i gotów do walki z tym człowiekiem, w którym przeczuwałem nieprzyjaciela, a który gładką powierzchnią wyslizgał mi się z ręki i nie dał ująć za słowo żadne. Walka budziła mnie do życia, bo zbliżała do niej; bezczynność, oczekiwanie zabijało mnie.

Weszliśmy więc razem do domu, po którym Herakliusz rozglądał się z pewną ciekawością, powściągnięty wychowaniem, jakby pytał ścian i sprzętów o tego co tu zamieszkiwał. Daremną była szczerość moja: on podejrzywał ją tęp więcej, że nigdy może nie grał gry podobnej. Przygotował się na wybiegi i kłamstwa, ale prawda wytrącała go z koleji; rozum jego pojmował ją, lecz przywyknienie silniejsze było od rozumu. Mimowolnie prawie szukał tego, co się ukrywać mogło po za szczerością moją.

— Panie S., rzekł w końcu, nie skończyliśmy wczorajszej rozmowy. Przybyłem umyślnie do pana, gdzie zapewne nikt nam przerywać nie będzie.

Skloniłem głowę w milczeniu, przysunąłem krzesło gościowi memu, ale on nie usiadł, tylko wsparł się lekko o poręcz, bawiąc się złotą gałką rzeźbioną szpicrutą. Ja pozostałem naprzeciw niego nieruchomy, czekając co dalej powie.

— Okoliczności zmieniły się od wczoraj, wyrzekł Herakliusz z uśmiechem. Zwyciężyłeś pan; jestem pokonany i broń składam. Nie myślę odgrywać śmiesznej roli opiekuna z komedii. Księżniczka zbyt wyraźnie objawiła skłonność i wolę swoje, bym mógł jej się opierać. Rad nierad muszę więc być sprzymierzeńcem pana.

Głos jego był przyjazny, cały układ wyrażał swobodę i zaufanie, a jednak na tę mowę nie znajdowałem odpowiedzi.

— Obadwaj pragniemy jej szczęścia, nie wątpię o tym, mówił dalej, wyciągając do mnie rękę, której uścisk oddać musiałem; ale pozwól pan mnie, starszemu i wytrawniejszemu, objąć ster nad waszą miłością, pozwól mi zrobić niektóre przedstawienia, swoje i księżniczki nałożyć warunki.

— Więc ona stawia mi warunki i stawia przez pana? zawołałem z wybuchem nieufności mimowolnej.

Hrabia uśmiechnął się.

— Widzę, rzekł, iż nie możesz pan zapomnieć wczorajszej rozmowy. Ależ na Boga, bądź sprawiedliwym! Postaw się w mojem położeniu: przyjeżdżam najspokojniej, nie wiedząc o niczem, nie domyślając się niczego. Przyznaj pan sam że to zostało było trochę nieformalne i mogło popsuć mi humor.

Twarz hrabiego przybrała wyraz tak dobroduszny, wyrażała tak komiczne nieledwie zakłopotanie, iż mimowolnie uśmiechnąć się musiałem.

— Księżniczka, wyrzekłem po chwili, nie potrzebuje stawiać mi warunków. Jej wola będzie mojem prawem, o tym wątpić nie może, nie powinna.

— Księżniczka, odparł hrabia, wlepiając we mnie spojrzenie, jakby śledził wrażenia słów wymówionych, — księżniczka pragnie zwłoki, czasu, a pod tym względem i ja z nią zgodzić się muszę.

Zwłoka, czas, te słowa przeszły mi bólem. Zwłoka, czas, gdy ja szalał prawie, gdy każda chwila wydawała mi się wiecznością męki! Ale spodziwałem się tych słów i zacisnąłem tylko wargi, by Herakliusz nie spostrzegł bólu mego. Nie chciałem zaprzeczać słowom tak niebacznie wymówionym wczoraj. Zresztą cóż było odpowiedzieć? sprawę moję mogłem wygrać z nią jedną.

Wyraz twarzy mojej, niecierpliwe ściągnięcie brwi, błyskawica w oczach zdradziła jednak musiały mój stan wewnętrzny w oczach hrabiego; uczułem że on mnie nawskróś przenikał i znieawidziłem go za to.

Twarz jego przybrała znowu uśmiech grzecznego szyderstwa, cynicznej wyższości.

— Więc księżniczka mówiła o mnie, księżniczka to zlecenie do mnie dała panu hrabiemu? wyrzekłem w końcu, nie mogąc się pohamować.

— Tak jest, odparł Herakliusz z szatańskim spokojem. Idalia otworzyła mi swoje serce.

Pomimowolnie zachwiałem się i wsparłem naprzeciw niego o poręcz krzesła. Duma moja i miłość zarówno zranione były, cierpiałem zarówno. Pomiedzy nas wchodziła się obca ręka, obca myśl rozdzieliła myśli nasze. Żadne z tych uczuć moich nie uszło bacznosci Herakliusza; on teraz miał klucz ducha mego, czytał w nim jak w księdze otwartej, bawił się może moim bólem, drażnił nienawiść, gdy chłodno, obojętnie spoglądał na mnie, strzepując końcem szpicruty lekki pył swego ubrania.

— Idalia, mówił dalej powolnie po chwilowej przerwie, jakby chciał każdym słowem ugodzić w serce moje i przymierzał cios każdy zanim go zadał, — Idalia pragnie byś pan uszanował jej załobę i nie wprzód odda ci swoje rękę, aż ta się ukończy. Zwyczaj każe ją nosić rok i sześć tygodni; ale Idalia uważa ten czas za zbyt krótki i przez dwa lata pragnie pozostać wolną. Tymczasem dojdzie też i pełnoletności, odpowiedzialność więc za to zamęczenie na mnie ciężcyć przestanie.

Przygotowany byłem na te słowa, a jednak nie wysłuchałem ich bez dreszczu; zawierały one dla mnie coś niepojętego, bo nie rozumiałem już jak dalej żyć potrafię. Ten długi przeciąg czasu nawet nie przedstawiał mi myśli wyraźnej. Co znaczy rok czy dwa lata dla tego, któremu chwila każda staje się niepodobną? Od wczoraj nie poznawałem siebie, od wczoraj kochałem ją z szaleństwem namiętności, jakiej równej nie doznałem nigdy. Dotąd ona drzemała w głębi mego łona, nieświadoma siebie; zbudziło ją pierwsze wyznanie, pierwsza przeszkoda. A jednak potrafiłem odpowiedzieć ze spokojem rozpaczcy:

— Czy radom pana hrabiego zawdzięczam to postanowienie?

— Rady moje w tym razie zgadzają się z życzeniem Idalii, inaczej miałeś pan dowód jak mało słuchane bywają.

W tych słowach przebijała gorycz, za którą wdzięczny mu byłem, jako za dowód ludzkiego uczucia; potrzebowałem wierzyć że to on, nie ona cierpieć mi każe, potrzebowałem uniewinniać ją jego kosztem.

— Uważam, rzekł hrabia po chwili, jakby oczekiwał odpowiedzi, uważam że pan chcesz koniecznie widzieć nieprzyjaciela we mnie; sądzę jednak iż po dojrzałej rozwadze oddasz mi sprawiedliwość. Postępuję z równą pańską szczerością. Marzyłem dla Idalii o innym losie, nie taję i nie tałem tego, ale nie mam prawa stawiać wbrew jej woli. Zgadzam się z jej życzeniem zupełnie i stawiam za jedyny warunek uszanowanie konwenansowych praw świata. Na honor, więcej żądać pan odemnie nie możesz.

Mówił to z rodzajem chłodnej otwartości. Pozory przemawiały za nim, a jednak jakiś instykt serdeczny ostrzegał mnie, by mu nie wierzyć. Nie wiem czy Herakliusz odczuł ten odcień subtelny, ale obejście jego stawało się coraz bardziej ujmujące, przyjazne.

— Widzę, rzekł, iż jesteś pan dzieckiem jeszcze. Cieszę się z tego: człowiek który kocha, jest zawsze trochę dzieckiem. Idalia potrzebuje serca.

Próbował przyjąć rolę ojcowską, przystającą dziwnie do jego obumarłej twarzy, do układu piękności i salonowca; ale pomimo trudności tej roli, nie mogłem rozpoznać czy była ona szczerą, czy przybraną. Jeśli ten człowiek gra komedią, gra ją po mistrzowsku. Nikt nie dopatrzy w nim fałszywego dźwięku; umie władać zarówno sobą i drugimi.

Rozmowa nasza przeciągnęła się czas jakiś. Odprowadziłem go do Maniowa, gdzie oczekiwała nas księżniczka. Potrzebowałem zobaczyć ją znowu, zobaczyć koniecznie.

Idalia była w salonie. Z balkonu pełnego drzew pomarańczowych, rozkwitłych azalij, rododendronów, dolatywała przez okna otwarte woń upajająca. Ona w białej gładkiej sukni, którą zamiast żałoby nosiła, jako ulubiony kolor zmarłej matki, siedziała

w półcieniu firanek, z czołem zamyślonem, wsparłem na rękę. Ślady wczorajszego smutku znikły z jej twarzy; promienna zwróciła się ku nam z półuśmiechem, z lekkim rumieńcem i wzrok jej przejrysty zawisł na mnie. Ja byłem w stanie który trudno opisać. Czułem tylko że drżały mi usta gorączkowo, płomiennie, że żyły występowały mi na czoło i pulsowały gwałtownie, a ona była tak spokojna, tak jednaka, tak niezmienniona, jakby nigdy jej usta nie wyrzekły mi słów wyznania, ni tego strasznego wyroku zwłoki, jakby dla niej miłość nie streszczała życia, nie pożerała płomieniem serca, ale była jednym więcej dźwiękiem pogodnego ducha.

Pierwsze spojrzenie między nami było dysharmonią. Ona próżno szukała w moich oczach pogody szczęścia, ja w jej wzroku ognia namiętności. Źrenice nasze skrzyżowały się i zamiast stopić w spojrzeniu zachwyty, jak zwykle, rozbiegły się smętne, niby rozżalone, żeśmy przestali rozumieć się wzajemnie.

Hrabia nie narzucał nam zbyt swą obecności; swoboda jego obejścia, pokrywała z naszej strony rodzaj przykrego przymusu. On nie chciał być natrętnym i korzystał z pierwszej sposobności, by zostawić nas samych.

Ja siedziałem o kilka kroków od Idalii, przejęty dziwnym uczuciem smutku i rozmarzenia. Spokój jej owiwał mnie zwolna, jej promienna istota czyniała mnie niejako swoim czarem. Odpoczywałem pod blaskiem jej spojrzenia po wewnętrznych burzach, jak zmordowany wędrowiec pustyni w cieniu ożywczym oazy, i nie miałem już siły o nic zapytać. Harde serce kruszyło się we mnie, a usta nie umiały wymówić błagalnego słowa. Smutno mi było żem cierpiał przez nią, z jej woli, ale nie mogłem mieć do niej żalu i spoglądałem znać wymownym wzrokiem, bo ona powstała i zbliżyła się, jakby przyciągnięta cierpieniem-spojrzenia. Nie miałem prawie siły poruszyć się z miejsca, wymówić słowa. Stała tuż przy mnie, pochyliła się zwolna i chłodną aksamitną dłoń położyła na moim czole, jakby chciała wygładzić zmarszczki jego, uspokoić fale krwi bijącej.

Zadrżałem na dotknięcie jej ręki.

— Idalio! Idalio! zawołałem z wybuchem, dlaczego każesz mi cierpieć tak długo?

— Cierpieć? powtórzyła, ja widzę że cierpisz, ale powiedz mi czemu?

— Czyż to prawda, pytałem, że lata całe każesz mi czekać, każesz żyć bez siebie?

Idalia spoglądała na mnie zdziwionem okiem.

— Alboż nie jesteśmy razem? odparła. Czyż cię nie kocham, Edwardzie? czyż moja miłość starczyć ci nie może?

— Twoja miłość? zawołałem. Daj mi ją całą, Idalio, a świat nie będzie miał już dla mnie ponęty żadnej: stanę się szczęśliwym, ubłogosławionym! Twoja miłość! czyż poza nią istnieje dla mnie co na ziemi i niebie?

Słuchała mnie z promieniejącem okiem, z zachwytem szczęścia.

— Więcej niż ja cię kocham, szepnęła pochyłona nademną, kochać niepodobna. I czegoż ci braknie jeszcze?

— Czego? zawołałem nawpół szalony, opasując jej kibić rękoma i topiąc wzrok w jej oczach, czego? Braknie mi każdej chwili spędzonej bez ciebie, każdego spojrzenia. A ty, czyż nie czujesz tego?

— Nie, odparła zarumieniona moim wzrokiem, siląc się wydobyc z ramion moich, — bo myśl o tobie nie odstępuję mnie nigdy, Edwardzie.

— I myśl ci wystarcza? wystarczyłaby zawsze? mówiłem coraz gwałtowniej, cisnąc ją do siebie.

Płomienie biegały mi przed oczyma, płomienie krążyły we krwi. Nie pamiętny na nic, na jej zbladłem, w pół odwróconem licu wycisnąłem pierwszy pocałunek.

Ale Idalia wyrwała się z rąk moich i stanęła o kroków kilka. Spojrzałem na nią, błagalnie składając ręce. Twarz jej bielsza była od sukni; drżąca wprawdzie, ale prosta i dumna, spoglądała na mnie nie z wyrzutem i trwogą, nie ze żłą i rumieńcem wstydu, ale lodowatym wzrokiem oburzenia, nieledwie pogardy.

Powstałem i ja na ten widok, krew uderzyła mi

do twarzy. Chciałem zbliżyć się do niej, ale ona cofnęła się instyktowym prawie ruchem, ze wstrętem odpychając rękę moję.

— Idalio! zawołałem rozżalony.

Nie odpowiedziała mi nic zrazu, tylko powoli wzrok jej, utkwiony we mnie, mienił się, miękł i zachodził łzami.

— Więc to jest twoja miłość? wyrzekła tylko drgającymi ustami, odwracając wilgotne źrenice i spoglądając w górę z nieujętą boleścią.

— Idalio! zawołałem zwyciężony jej żalem, przebac mi! Czego płaczesz?

— Płacę, odparła zwolna, jakby sama do siebie, nie patrząc na mnie nawet, płacę miłości mojej, szczęścia, wiary, płacę jak gdybym straciła to com ukochała.

— Więc mnie nie kochasz już? wyrzekłem z rozpaczą.

— Ja nie wiem sama, mówiła dalej. Od wczoraj ja ciebie nie poznaję, od wczoraj cierpię i lękam się, a jednak kochać cię muszę, dokończyła z wybuchem. Co tobie jest od wczoraj?

— Od wczoraj? powtórzyłem smutnie. Ja od wczoraj, Idalio, kocham cię z całą siłą do jakiej zdolny jestem, kocham stokroć więcej niż wprzód. Czy miłość moja cię przeraża?

Nie odpowiedziała nic, tylko jasne oczy zatopiła we mnie, smutne, łzawe, pytające, litośne, jakby anioł spoglądał z góry na nędze tej ziemi i bolał nad cierpieniami, których zrozumieć nie może.

Powoli jednak żal i litość minęły, ale smutek pozostał na dnie jej duszy, odbił się w zwierciadle spojrzenia. Nie miałem czasu rozproszyć go dawnymi słowy, bo już dnia tego nie byliśmy sami.

Herakliusz zauważał zmianę w obejściu księżniczki, ale nie powiedział nic, tylko cień szyderskiego uśmiechu zarysował się na jego wąskich wargach.

Powróciłem do siebie, pełen złych przeczuć. Dlaczego każdym słowem mojem, każdym uczynkiem, obrażam ją pomimowolnie, ją, którą kocham? Dlaczego od dni kilku horyzont szczęścia mego się zaćmił i nie mogę odnaleźć pogody jego?

Daremnie powtarzam sobie, że miłość nie istnieje bez cierpienia. Ja czuję iż w ten sposób cierpieć nie powinienem, iż jest pomiędzy nami kardynalna różnica pojęć, która sprawia że ranimy się wzajem, sami nie wiedząc o tem.

A jednak gdyby piekło przecierpieć mi przyszło, nie cofnę się przed jego męką. Gdyby miłość ta miała być dla mnie tylko bólem, rozpaczą, przyjmę ból, rozpacz wyzywam, a nie cofnę się nigdy! Kocham, i zda mi się że kocham coraz bardziej; dumną, pogardliwą, rozplakaną czy marzącą, kocham ją jak szalenię, jak opętany!...

(Dalszy ciąg nastąpi).



Panu J. G. w Lublinie. Najlepszą odpowiedzią na list pański, zakomunikowany nam przez redakcyę Kuryera Codziennego, jest numer ostatni naszego pisma, w którym znalazł się pan dokończenie powieści p. t. Helena.

Panu M. H. w Uchaniach. Za materiały rysunkowe do Tygodnika niewiele płacić możemy, po większej części bowiem czerpiemy je z tek naszych artystów, lub z nadsyłanych fotografii. Zresztą nabycie rzeczy tak wykończonych, jak „Wzory sztuki średniowiecznej,” przechodziłoby siły naszego wydawnictwa.

Panu Z. S. w Szadryńsku. Żadana część „Heleny” posyłamy. Mylne jednak jest przypuszczenie, że użyta przez pana forma listu wpłynąć może na przyspieszenie wysyłki; owszem, utrudnia to bez potrzeby załatwienie żądania.

Panu T. M. S. w Warszawie. Nadesłane rebusy użyte nie będą. Przyczynę ustnie chyba wytłumaczyć panu możemy.

W drukarni J. Ungra.—Za pozwoleniem cenzury.